

JAN KASPROWICZ

HYMN

Od
Ministra Oświecenia

HYMNY

Antoni Potkowski
1826.

JAN KASPROWICZ

H Y M N Y



WARSZAWA 1921
INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«



CM 314507

Wytłoczono w Zakładach Graficznych „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 144 /2011/ CM

I
DIES IRAE

Trąba dziwny dźwięk rozsiej,
ogień skrzepnie, blask ściemnieje,
w proch powrócą światów dzieje.
Z drzew wieczności spadną liście
na Sędziego straszne przyjście,
by świadectwo dać Psalmiście...

A ty, psalmisto Pański, nastrój harfę swoją
już na ostatni ton!

Grzech krwią czarną duszę plami...
Bez obrońcy staniam sami —
któż zlituje się nad nami?

Kyrie elejson!...
O Boże! Ty bądź naszą łaską i obroną!
Kyrie elejson!

O Głowo, owinięta cierniową koroną,
gasnącem wieki wieków spojrzuj na nas okiem!
O spojrzuj na nas z tej głuszy,
która swem tchnieniem głębokiem
ogarnia światów bezmiary,
a którą ty wypełniasz swych bólów ogromem,
o Głowo, owinięta cierniową koroną!

Żalobna drogo nieochybnej kary,
broczącej we łzach i przy jęków wtórze
w ten pozbawiony końca
Pańskiego gniewu dzień,
w którym w pożarach spokojnego słońca
szatańskim chichotem płoną
świeże, niezwiędłe róże
grzechu i winy!

Na ich purpurze
osiadł posępny i siny
tej Konieczności cień,
z której przepastnej głębiny,
z łona, pełnego niweczających tchnień,
nad boskiej woli złomem
wyrosły zabójcze kwiaty
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień...

A Ewa jasnowłosa, matka gwiazd i ziemi,
upaja się ich wonią, schylona nad niemi.
Kyrie elejson!
Przez ciebie w proch nicości wracają Twe światy,
o Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!

Od Twego drzewa oderwany liść,
pędzi duch ludzki i naprzód i wstecz,
niby garść kurzu, porwana cyklonem:
przed nim i za nim płomienisty miecz
iskrzy się ostrzem czerwonym;
przed nim i za nim wstają z swych cmentarzy
upiory wieków, naznaczone sromem
winy i grzechu,
i klną i bluźnią i płaczą,
jęczą i syczą i dyszą

nieustającą rozpaczą,
od szaleńczego zamierają śmiechu
w ten Pańskich gniewów nieskończony dzień...

O Głowo, owinięta cierniową koroną,
Ty, co rozpierasz Swej męki ogromem
piersi Konieczności! O Głowo,
której źrenice, jako dwie pochodnie
dogasające, płoną
nad krętą, pustą, nieskończoną drogą
i gasną, gasną, a zgasnąć nie mogą,
zawrzyj Swe oczy nad nami,
nie patrz na boleść i zbrodnię!...

Jedno jest tylko w przestworzach widomem,
jedno w zachodniej płomienieje zorzy
nad płomiennemi falami
wiekuistego Żywota
i nigdy w ciemnię grobu się nie złoży
i nigdy ciężkich stóp swych nie poruszy,
by iść i iść i iść
poza granice duszy —
jedno jest tylko Jednem,
grzmiącym miedzianą surmą archaniola
ponad pokoleń pokoleniem biednym
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień:
wielki, wszechmocny Ból.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Niech łaska Twoja winy nam odpuści...
A ty swe skronie tul
do zimnych opok, do strzaskanych grani,
sterczących smutnie nad gardłem czeluści,
i płacz...

Surma jęczy, surma woła!
Giną w chimurach wirchów czoła;
wałem mżących mgieł dokoła
nieznany oddech miota,
jakieś potworne, dzikie kształty tworzy
i po dolinach rozpędza ich stada
i znów je skupia w przepastnej otchłani
i ku niebiosom wyrzuca ich kłęb
i w jakieś czarne rozsnuwa całuny
ten niewidzialny, dreszcz budzący Tkacz
i ciężką, mokrą tą przędzą pokrywa
wszystko, co jest...

O biada!...

Biada!... Pierś światów przed chwilą tak żywa,
kona pod strasznym ciężarem...
Olbrzymy świerków padają strzaskane;
las się położył na skalisty zrąb;
węże kosówek, wyprężywszy ciała
w kurczach śmiertelnych, drętwieją bezwładne;
wrzos na granitów podścielisku szarem
spełznął na wieki;
kozice stromą oblepiły ścianę
i patrząc trwożnie w bezmierny, daleki,
w ten nieskończony chaos mgieł i cieni,
runęły w żlebny grób...
Rozkrzyżuj silne ramiona
i paznogciami wpij się w twarde gład
i odwróć oczy od onej przestrzeni,
w której rozsadza horyzontów krańce
ta Głowa, w cierń uwieńczona!

Nie patrz, gdzie siadła jasnowłosa Ewa,
wygnana z raju na wieczysty czas,

mająca zbrodnię u swych białych stóp,
wieczyście żarta płomienistą żądzą
winy i grzechu...

O duszo, pełna miłości,
a którą nieustannie szarpia niepokoje!
Pańskiego gniewu zwałił się już dzień!
Trombita Sądu nad tobą rozbrzmiewa
piorunną mocą archanielskich technic
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień...

Niechaj mnie sądzą,
niechaj mnie karzą —
tak, mnie, Adama, com na barki swoje
zabrał z Ogrodu to nadludzkie brzemie
przygniatającej winy
i wieki wieków pnę się z tym ciężarem
ku wiekuistej wyży
i zbladła nie śmiem odwrócić się twarzą
tam, ku tym zmrokom, co zaległy ziemię,
tam, ku piekielnej przełęczy,
na której siadła jasnowłosa Ewa
z padalcem grzechu u swych białych stóp...

Miljardy krzyży,
opromienione okręgami tęczy,
z padolnych Styksów powstają głębiny
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień
i rosna, rosna w jakiś straszny las,
co wierzchołkami swych bolesnych drzew
przeszywa wszystkie mgły
i wszystkie blaski, które lśnią nad mgłami,
wypływające z Wszechmocy Istnienia.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Twojego gniewu nadszedł wielki czas,
głos już zagrział hjobowy,
niebios wałę się posowy,
z owiniętej cierniem Głowy
rzeką i morzem płynie ciepła krew,
w rzekę i morze krwi jej ból się zmienia...

W świątyni bożej zamilkł święty śpiew,
już się zasłona rozdarła na dwoje,
mur się już wali i skała już pęka...
A krew w tych morzach, w tych czerwonych rzekach
ścięła się w ciemny lód...

Kyrie elejson!

Ogromna, niesłychana, wiekuista męka,
z nieprzygasłemi oczyma,
milcząca, cicha, i, jak zmierzch, pobladła,
na wklęsłych skroniach siadła,
na wpółotwartych powiekach
i na wydętych piersiach tych olbrzymich ciał,
które do krzyżów przybiła
nielitościwa Dłoń...

W kleszczach je swoich trzyma,
wpija się w kąty ust,
ramiona w kabłąk gnie
dreńcząca wieki niezmierzona siła
i, jak śmiertelny szal,
zastygły, skamieniały w godzinie konania,
swoim ciężarem się wgniata
w zwiedle, z przepasek odsłonięte brzuchy
i biodra splaszcza, kolana rozsuwa
i pokrzywione, czarne palce nóg,
pokrytych siecią fioletowych żył,

w zamarłych kurczach wydłuża...
O grozo świata!
O widma, płynące wdał,
w ten przestwór ślepy i głuchy,
w wilgotny, mgławcy pył,
w te ciemne wnętrza bezsłonecznych brył,
w potworne gmachy nadszczytowych chmur!

Jeszcze nie zapiał kur,
a na piekielnej przełęczy,
nad dnem Styksowych otchłani,
siedzi pod złodem niebotycznej grani
pramatka Grzechu, jasnowłosa Ewa,
z gadziną zdrady u swych białych stóp.

Kyrie elejson!
Straszny przed nami otworzyłeś grób...

I płyną, płyną te milczące krzyże
razem z ruchomem, wielkiem trzęsawiskiem,
które swą rdzawą kałużą oblewa
męczeńskie drzewa.
Wszystko, co było dalekiem i bliskiem,
co opadało w niedojrzaną głęb
i w niedojrzane wznosiło się wyżej,
teraz tem wielkiem, grzązkim bagnem płynie
w Pańskiego gniewu ostatniej godzinie...
Kyrie elejson!
Światy pochłania nieprzebyty muł,
światy, od bożych odepchnięte bram.

A z pod korzeni jadowitych ziół,
z pod kęp sitowia i trzciny i traw,
z rowów, przepadłisk, wądoców i jam,

pokrytych opalowem szkliwem zgniłych wód,
zaczyna wypływać żmij skłębiony płód:
czarne pijawki, zielone jaszczury
wiją się naprzód wplaw
i oplatają kręgami śliskimi
męczeńskich krzyżów smutne miljardy,
z bagnistej wyrosłe ziemi,
zapadłe w bagnisty kał...
I oto głowy swoje, dziwne, ludzkie głowy,
świeące trupim tłuszczem żółkłych, łysych czół,
o szczękach, otulonych kłębem czarnych bród,
kładą na łonach tych pomarłych ciał...
I skośne, mętne oczy podnoszą do góry
ku ich schylonym skroniom...
I biodra opasawszy w lubieżnym uścisku,
zwilgotniałemi usty
szepczą im słowa rozpusty...

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
W królestwie Śmierci staje nagi szal.
W niedoścignionym błysku
technienie żywota przenika
to, co od wieków zagasło...
W Pańskiego gniewu ostatniej godzinie
krew świeża płynie
z odrywających się od krzyżów rąk,
z odrywających się od krzyżów nóg...
I Głowa, owinięta cierniową koroną,
ta Głowa, która przestwór wypełnia bezbrzeżny,
podnosi ciężkie powieki i patrzy...

Jakaż to orgja dzika!
Jakiż to chaos mąk!
Kyrie elejson!

Idą na się zmartwychwstali,
ogniem wojny świat się pali,
tłumy w krwawej brodzą fali!
Adamie potępiony, zwróć się z strasznych dróg!
Zawiśnij na swym krzyżu, sterczącym w niebiosą,
i nie patrz, gdzie w spokoju Ewa jasnowłosa,
piekielny zajmwszy próg,
do rozpustnego przytula się gada!
O biada! —

Idą na się zmartwychwstali —
w oku mściwy skrzy się gniew,
rozpaczy kurcz wypręza rozchylone wargi,
kroplisty pot oblewa policzki zapadłe,
kudły włosów zlepia gęsta krew.
Z wyciem hyjen, z rykiem lwów,
z psów szczekaniem, z rzeniem koni,
które cugli nie zaznały,
łkając, jęcząc, grożąc, klnąc,
poszarpane miecąc skargi,
pędzi tuman ludzkich żądz.

Ten upada, ten się broni,
temu dłoń ścisnęła krtań,
ten się w swojego brata paznokciami wrył,
a tamten zęby szczyrzy, poszarpawszy ramię,
a ten olbrzyma ręką pochwycił dwie nogi
i rozdarł na dwie szczypy tułów Heraklowy
i w ciemną rzucił bezdeń, w Sądu straszną noc...
A z parą szklanych, martwych kul,
rozsadzających oczodoły,
biegnie bez końca, bez końca, bez końca,
gnając przed sobą bratobójczy huf,
niemy i głuchy Strach...

Zakryj błędne źrenice, ścigany Adamie!
Nad tobą tam! u szczytu
złocistowłosa Ewa!
Jej grzechu ciężar zgniótl cię, stanąłeś wpół drogi!
Zakryj błędne źrenice i na wieki wieków
rzuć się w przepastny żleb!...

Enoch i Eljasz z proroczemi księgi
przyszli obwieścić szalonemu światu
Pańskiego gniewu moc.
Lecz nim zdołali rozedrzeć swój płaszcz,
nim głos wytrysnął z przepełnionych łon,
padli w zamęcie spadających gwiazd,
zgaśli, jak słońca,
na to wzniecone w przedpoczątkach bytu,
ażeby zgasły... Amen.

Szum się wielki stał dokola,
kiedy surma archaniola
na Ostatni Sąd zawola.
(Głos rozlega się ponury,
jak grzmot leci złotopióry,
z dolinami równa góry.
Drży strwożona światów dusza,
a on głębie mórz wysusza,
kości wieków w grobach rusza.
Gwiazdy z orbit wytrąciła
archanielskiej trąby siła,
już rozwarła się mogiła.
Idą na się zmartwychwstali,
ogniem buntu świat się pali,
tłumy w krwawej broczą fali.
Z wyciem hyjen, z rykiem lwów,
łkając, jęcząc, grożąc, klnąc,

pędzi tuman ludzkich żądz...

A On,

potężne łono, przepotężnych łon,

Jasność jasności,

Zmrok zmroków,

Łaska łask i gniewów Gniew,

stał nad skonem Żywota

i, rękę położywszy na głowie Boleści,

na niezmierzonej, cierniem opasanej Głowie,

wypełniającej wszechświatów przestwory,

rozpoczął Sąd.

Biją pioruny,

a nad pioruny idzie Jego zew!

Ogrom bytu błyskawic wszystkich nie pomieści,

a Jego światłość złota

strzela nad pełnię, nad ogniste łuny

błyskawicowych potoków...

Czem jestem wobec Ciebie, ja, com z rajskich włości

zabrał z sobą, wygnaniec, tę łamiącą winę

i teraz ginę,

od Wschodu do Zachodu tułacz nieszczęśliwy,

pod nieuchronnych wyroków

w początkach dnia i nocy wzniesionym obuchem?!

Stopę Swoją złożyłeś na pokoleń grzbiecie

i sądzisz! Kyrie elejson!

Płaczów i jęków słuchasz niesłyszacem uchem

i sądzisz! Kyrie elejson!

Na mękę wieków patrzysz niewidzącem okiem

i sądzisz! Kyrie elejson!

Niewiasta z rozpaczliwym krzykiem rodzi dziecię,

Ty jego duszę grzechu oblewasz hyzopem

i sądzisz! Kyrie elejson!

Wichr idzie po rozdrożach westchnieniem głębokiem

ku Twojej wyży,
modlitwy niesie krwawe, przybite do krzyży,
Ty sądzisz! Kyrie elejson!
A kto mnie stworzył na to, ażebym w tej chwili,
odziany potępienia podartą żalobą,
kawalem kiru, zdjętym z mar Twojego świata,
wił się i czołgał przed Tobą,
i martwem, osłupiałem z przerażenia okiem
straszego Sądu wylawiał płomienne,
świat druzgocące rozkazy?
A kto mi kazał patrzeć na te czarne głązy,
rozpadające się na gruz pod mocą
Twojego gniewu, przeraźliwy Boże —
na głązy te, gdzie straszny owoc Twojego drzewa,
złocistowłosa Ewa,
do piersi pierś padalca tuli obnażoną?...

O Głowo, przepasana cierniową koroną!...
Któż się nad dolą zlituje sierocą,
nad moją dolą,
której, Boże, Two ręce, z kajdan nie wyzwolą?
Kyrie elejson!
Patrzaj!... Kyrie elejson!
Ona swą białą dłoń
kładzie na jego skroń —
na trupa, zapadniętą, żółtkłą skroń zleniałą...
Kyrie elejson!
I podczas, gdy Swe Sądy sprawiasz Ty, o morze
niewyczerpanych gniewów,
ona swem okiem patrzy w jego oczy —
omdlewajacem okiem!
Kyrie elejson!
Jej nagie uda drżą,
palcami rozczesuje złoto swych warkoczy

i falą złocistych włosów
osłania jego nagość i pieści i pieści
ustami czerwonemi bladość jego ust.

Kyrie elejson!

Wężowe jego kręgi opasują biodra
rozluźnionej Bolesci,
a ona, wyprężwszy swe rozpustne ciało,
nienasyconem oddycha pragnieniem.

Kyrie elejson!

Na łonie jej spoczęła czarna, lśniąca broda
rozpalonego Szatana,
co świat umierający okrył swoim cieniem,
a ona,
w zbrodniczych pieszczot rozdawaniu szczodra,
zamknęła w drżące go biodra,
w nabiegłe żądzą ramiona...

Kyrie elejson!

Mą duszę pali wieczna, niezamknięta rana!

Któż mi lekarstwo poda?

Ojcze rozpusty! Kyrie elejson!

Nic, co się stało pod sklepem niebiosów,
bez Twojej się woli nie stało!

Kyrie elejson!

O źródło zdrady! Kyrie elejson!

Przyczyno grzechu

i zemsty i rozpaczysz szaleńczego śmiechu!

Kyrie elejson!

Sądź, Sprawiedliwy!

Krusz światów posady,

rozżegnij wielki pożar w tlejącej iskierce,
na popiół spal Adama oszukane serce
i płacz!

Z nim razem płacz, kamienny, lodowaty Boże!

Niech Twa surma przeraźliwa
echem płaczu się odzywa
nad pokosem Twego żniwa...

Dwujęzycznego smoka,
Szatana o trzech grzbietach zwalczył w wielkim boju
archanioł pański, Michał, i zginął w otchłani. Amen.

I stał się koniec świata... O chwilo spokoju!
Zgasł płomienny głos proroka,
i wieczności noc głęboka
nieprzejrzana jest dla oka.

A ja, wygnaniec z Raju, tułacz nieszczęśliwy,
zesłany, aby konać, na te ziemskie niwy,
i patrzeć, jak pod złomem niebotycznej grani
usiadła matka Śmierci, Ewa jasnowłosa,
pieszcząca węża Grzechu, posyłam w niebiosy,
opadłe nad wieczności tajemniczym mrokiem,
to moje wiekuiste, nieprzebrzmiałe: Amen!
Amen!

W umarłych bytów milczeniu głębokiem
słyszać jedynie Amen, moje straszne Amen.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Kyrie elejson!

Przedemną przepaść, zrodzona przez winę,
przez grzech Twój, Boże!... Ginę! ginę! ginę!
Amen.

A cóż powstanie ponad nicościami,
gdzie ongi były światy
i Ja, w chęć życia bogaty,
a dziś w umarłych postawiony rzędzie?

Niech nic nie będzie!
Amen!

Bo cóż być może, jeśli ja zaginał?...

Na wszystko mrok nicości nieprzebyty spłynął –
Amen.

II

SALOME

O przyjdź!

O boski przyjdź proroku!

Salome ciebie woła z płomieniami w oku!

Na tę słoneczną miłości polanę,

poniędzy żądz rozkwitłe czarodziejskie ziola

Salome cię woła!

O przyjdź!...

Salome, klęby włosów rozwiawszy miedziane,

niby wieków pożaru krwawiące się luny,

w złocistej harfy uderzyła struny

i śpiewa...

O przyjdź!...

O przyjdź, proroku blady!

Ogień żywy obleje twe liljowe skronie,

ogień żywy na licu-ć przygasłem zapłonie .

od mych gorących warg!

Salome, białolistny kwiat Herodjady,

zerwany ręką grzechu z świadomości drzewa,

w pożarne wieków luny rzuca pieśń swą krwawą.

swą nieskończoną pieśń —

i woła cię, proroku! Przyjdź!...

W królewskiej komnacie

kazałam służebnicom rozesłać kobierce,

utkane z miękkiej wełny owiec z Galaadu;

majestat ciężkich kotar otula me łożę,

moje labędzie puchy!...

Ach! jak się trwożę!

Jak lęka się ma dusza, aby promyk złoty
nie przedarł się zuchwale do mojej tęsknoty!
By jakiś listek mirtowy,
gdy wiatr z kryjówek gaju ciche szumy płoszy,
nie zadrżał, posłyszawszy stłumione rozmowy
naszej mdlejącej rozkoszy!...
Nie wejdzie nikt, prócz ciszy, w ten przybytek głuchy,
prócz ciszy i prócz żaru mojego pragnienia,
co mi rozdzwięcza serce,
że śpiewa pieśń, idącą w wieków majestacie
przez świat, ogromny świat —
tę nieskończoną pieśń:
O przyjdź, proroku, przyjdź!...

Skąpałam swą dziewiczość w przejrzystym marmurze,
gdzie źródł różanej wody z kształtnych dziobów tryska,
a słońce przez zazdrosne ciśnię się kryształę,
ażebym rozcałować mych bioder marmur biały,
mej piersi oroszone, wpółzamknięte róże...
Kazałam się namaścić maściami wonnemi,
a uśmiech ubezwładniał me rozwarte usta
w przeczuciu nieznanej pieszczoty,
gdy Jezabel, ta płocha, ta dziewczyna pusta,
namaszczała me łono
i mleczną szyję mą,
szeptała mi do duszy, żem ja winne grono,
najwyborniejsze z gron!
Ach! złocę się w słonecznem, błękitnem przestworzu
i czekam na winnicach engaddyjskiej ziemi,
aż przyjdzie pragnący On,
aż przyjdzie żniwiarz wybrany
i niecierpliwą dłoń
wzniesie po owoc ten złoty...
Ach! przyjdź!...

Na oceany
niewyczerpanych żąd
rzuć swoich żagli płótna
i płyn!...
Ach! przyjdź!...
Czekam na ciebie smutna...
Ach! przyjdź!...
Czekam na ciebie wesola, radosna
oneim pragnieniem, co się spełnić ma,
jako ta kwieciem pękająca wiosna!
Ach! przyjdź!
Powieki mi się kładły na przepastne głębie
moich senliwych ocz,
gdy gdzieś, na dnie ich, wielkiem, jak za krańcem świata
nieogarnięta oceanów toń,
kąpały się obrazy, rozkoszne, jak woń,
płynąca z Raju, gdzie — brat zabił brata!...
A były-é w swej rozkoszy zabójcze, jak śmierć,
co na tę misę rzeźbioną
rzuciła mi w swym szale lubieżnym twą skroń,
owitą w włosów krucz,
ociekających krwią...
Ach przyjdź!...

Jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!

O ty kochanku mój!
O mój jedyny kochanku!
Rozpalę w alabastrach kosztowne oleje,
otoczę światłościami jedwabiste łoże,
z nocy dzień biały stworzę!
Niech tych światłości zdroj
oblewa naszą miłość, by lśniła, jak zorze
konającego dnia!...

O Jezabel, ty płocha, ty dziewczyno pusta!

O Jezabel, przed tobą ma się dusza śmieje

i moje wargi drżą,

moje rozwarte usta!...

Lub zgaszę w drogich czarach płonące pochodnie,
szkarlatem, jak mrok gęstym, łożnicę osłonię,
promieniom gwiazd przystępu w ten kościół zabronię,
niech nasza miłość utonie

w wieczystej, nieodgadłej, niezgłębionej nocy!...

A z tajemnicznych uścisków,

gdy dusza twa, proroku, mą duszę pochłonie,

gdy w oczach twych przymkniętych czar twojej Salomy

urośnie w niespodzianej rozkoszy ogromy,

gdy świat się cały zamknie w pragnienia wszechmoc,

a ty gdy cały zginiesz w nasycen powodzi,

niech się zbawiciel narodzi

lub szatan, co po wszystkie globów widnokręgi

rozepnie wieki, nieśmiertelną zbrodnię!...

Niech płynie głos triumfu po życia odmętach,

lub jęk i żal, w skazańców wychowany pętach,

niech bije w bramy śmierci swym rozpacz młotem,

niech dźwiga się po krzyżach, szubienicach, palach,

ku niemyim stopom niebios, w chmury czy błękity,

a ty, proroku, niesyty —

ty słuchaj mojej pieśni, nieskończonej pieśni,

rozbrzmiewającej po bezbrzeżnych dalach,

i przyjdź!

Niechaj się łamą potęgi,

niechaj się w gruzy rozpada

ten tron, na którym twórcza nieśmiertelność siada;

ta ziemia i te gwiazdy, słońca i księżyc

niech się rozprysną w mgławice;

niech sen wiekuistości jako sen się prześni,

ty słuchaj mojej pieśni

i przyjdź!

O ty kochanku mój!

O ty jedyny kochanku!...

Jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!

A o poranku,

o świcie któż mnie budzi całowaniem w oczy?

To on, to prorok boży!

Kto pieści miedź złotawą rozwitych warkoczy
i budzi całowaniem z słodkich snów omdlenia?

To on, to prorok boży!

Któż głowę mą podnosi i do ust przyciska
i znowu ją na puchach jedwabnych położy
i budzi całowaniem i sen mój przemienia
w rozkoszną, słodką jawę?

To on, to prorok boży!

Ach! przyjdź!

Któż piersi me odsłania i z swego ogniska,
z ogniska żadnej duszy sypie iskry kiwawe
na moje łono białe,

na moje włosy złotawe,

na oczy, z rozkosznego zdumienia rozwarte,
i budzi całowaniem zdumienie rozkoszy?

To on, to prorok boży!

Któż sen mi płoszy?

Któż sen mi całowaniem płoszy na wiek wieków,
ażebym wieki wieków tuląc twoją szyję
w uścisku drżących ramion i do twego łona,
jak jemiola do dębu, ciałem przylepiona
i duszą, z rozwartemi wciąż śniła oczyma,
że twoją duszę piję,

że twem się ciałem sycę!

Że duszę twą i ciało miłość moja trzyma,
ażeby nie wybiegły za przybytku progi,

gdzie ja, gdzie moja miłość ogniem ogniów skrzy się!
Gdzie ja, gdzie twoja luba, twa droga, wybrana,
twa jedna i jedyna ma swojego pana
i swego sługę w tobie, o luby, o drogi,
o słodki, o wybrany, o jeden jedyny,
o na złocistej położony misie
w czerwieni krwi najdroższej, krwi najkosztowniejszej!
Któż mnie, kochanku,
o srebrnym budzi poranku,
że mogę twoje blade rozcałować lice,
że mogę wyczesywać z włosów krew zakrzepłą!?
Że mogę tą źrenicą, z rozkoszy osleplą,
spoglądać w twoje źrenice —
jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!
Że mogę twe powieki rozwierać palcami,
tą ręką, którą krew twa przekosztowna plami,
i patrzeć w twoje źrenice —
jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!
Jak one płoną ogromnie!
O moje wy służebne! przyjaciółki moje!
Naoścież otwierajcie pałacu podwoje!
Rozsuńcie nad posłaniem oponę czerwoną!
Kochanek zbliża się do mnie!
Uderzcie w lutnie i harfy!
Zatańczcie! niech radosny korowód się złoży!
Przy mnie kochanek mój!
Przy mnie jest prorok boży!
W tym wirze,
w którym ach! wszystek świat wiruje ze mną,
krew cieknie z misy, cieknie strugą ciemną!
Zedrzyjcie ze mnie te szarfy!
Zedrzyjcie drogie powłoki!
Niech krew ta cieknie po mem łonie białem!
Niech się spokrewni z mem ciałem

ten przekosztowny zdroj!
 O święte objawienie mej boskiej urody!
 Te oczy,
 w które wpatrywać się będzie
 ten mój kochanek młody,
 aż mu się z szalu wszystek świat zamroczy!
 Ach! przyjdź!...
 Te moje włosy miedziane,
 w które on rękę zanurzy
 i będzie na swej dłoni ich sypkość promienną
 z rozkosznym ważył uśmiechem!
 Ach! przyjdź!...
 Te usta, szkarłatem złane,
 barwami od świtowych ros wilgotnej róży!
 Ach! przyjdź!
 Te moje piersi drzemiące!
 Z parą labędzi porówna je senną
 i potem je pożarem całunków przebudzi,
 aż spłonienią od rozkosznych znamion!
 Ach! przyjdź!...
 Te biodra, które zamknie pierścieniem swych ramion!
 Ach! przyjdź!...
 Ach! przyjdź, kochanku, przyjdź!...

Dlaczego głos mój w pustem rozbrzmiewa przestworzu?
 Dlaczego mu potężnem nie odpowie echem
 głos twój, proroku, by wieścił przemianę
 okręgów świata pod mocą
 miłości mojej niesytej?
 Proroku! niebios błękity
 złączą się z ziemią, przez ciebie wezwane,
 w tajemnic jeden cud
 i ty objąłeś istotę stworzenia,
 objąwszy miłość mą!

O! jakie blaski w twoich oczach drżą!
W jakąż muzykę głos się twój przemienia!
Jak rozkryształowała się w srebrnych oparach!
Jak z światów cudotwórczym zlewa się oddechem!
Głos twój, przy moich zajmwszy się żarach,
błyskawicami moich żądz brzemienno,
huczący grzmotem namiętnego szalu,
który od końca do końca
przenika głębie, moją przepelnioną duszą,
wstrząśniętej tej ziemi macierzystym łonem
i nowe siły wywiedzie z jej wnętrza.
Z przepaści ciemnie się ruszą
i jutrznie, owinięte obrzeżem czerwonym!
Do boju stanie dzień z nocą;
pomrok ucieknie, jak tchórz;
łyskliwe wody zagrają pieśń fal
pod tchnieniem rannych zór,
pod lubieżnymi całunkami słońca,
które powstanie, rozbudzone głosem
twojej natchnionej, a mnie pełnej pieśni.
O wskrześnij, wiosno, o wskrześnij!
Po łąk kwitnących obszarach
rozpromieniają się rosy,
a ty je strącać będziesz stopy swemi,
przed siebie idąc z głową, wzniesioną w niebiosy,
dumny, że z stworzeń najpierwsza,
że ta najczystsza i ta najgorętsza
na niewolnika wzięła cię swej wielkiej,
swej wszechpotężnej miłości,
która jest jedną na niebie i ziemi,
która stworzyła te jutrznie, te zorze,
te słońca i te rosy słoneczne kropelki
i to rozkwitłe zboże,
uginające przed tobą swe kłosa...

Las się rozszum, a ty, o proroku,
jeden na ziemi i niebie,
słuchać go będziesz i, idąc przed siebie,
wciąż zasluchany w tę szumiącą dal,
zglebisz tę głębię szumu,
ujrzysz w nim duszę Salomy
i śpiewać będziesz jej chwałę,
że była przedtem, nim w wierzchołkach drzew
ten tajemniczy zaszeleścił śpiew...

Przezemnie, przezemnie
przenikniesz wieków ciemnie
i rozśłonecznisz to, co legło w mroku!
Przezemnie, przezemnie
rozpoznasz związek pomiędzy obłoku
rozśłonecznioną urodą,
a szmaragdową jętką, co nad wodą,
nad szeleszczącą trzcina skrzydły przejrzyściemi
lśni w promienistym słońcu
i nad wieczności zagadką przelata,
nad życiem i śmiercią ziemi.

Przezemnie, przezemnie
poznasz, co w gwiazd się kryje miljonie,
a onym kurzu, który wiatr południa
wzrusza po drogach i rzuca na świeże,
po burtach rowów i miedzach rosnące
kępy krwawników i śniade szaleje!

Przezemnie, przezemnie
rozpoznasz związek pomiędzy spokojem
w tę północ letnią, a drganiem powietrza
nad rozległemi rzyskami
w sierpniowy skwar,
gdy słońce stanie na szczycie.

Przezemnie, przezemnie
rozpoznasz związek między pluskiem ryby,

zostawiającej kręgi na jeziorze,
a wulkanicznym ogniem, który w łonie
rodzącej ziemi płonie
i wre i huczy i lawy
wyrzuca potok krwawy,
że ziemia z grzmotem pęka i wałą się miasta
i giną miłości nadzieje,
a w śmierci pełnej pustce rozpacza niewiasta!
I nic nie widzi, tylko oczu dwoje,
płonące ogniem wulkanu!
I nic nie słyszy, tylko wrzące tchnienie
swej rozszalałej piersi!
I nic nie liczy tylko one chwile,
kiedy na świata mogile
stanie z tą misą zlocistą
i krąg szalony zatoczy —
ten krąg radości i bólu...
A ty, o królu Herodzie,
życia i śmierci barbarzyński królu:
w taniec przed tobą pójdzie wstyd dziewiczy,
tylko mi pozwól wziąć
głowę bożego proroka!...
A wy służebne! przyjaciółki moje!
Słuchajcie dźwięków mej harfy!
Zedrzyjcie ze mnie te szarfy!
Niech padnie ta droga powłoka,
niech barbarzyński król życia i śmierci
mojem się ciałem upije!
Niech go powali ten taniec
zapamiętałych żywiołów!
Niech wie, że chociaż z popiołów
i popiołami żyję,
przy mnie jest prorok boży,
przy mnie kochanek mój!

Czemu nie idziesz? czemu?
Salome, białolistny kwiat Herodjady,
zerwany ręką grzechu z świadomości drzewa,
pieśń żywiołów śpiewa...

Przyjdź!

Przyjdź!... Pośpieszmy
w miesięczną noc do gaju, gdzie cyprysów cienie
rosną pod srebrnem księżycu zakłębem
w jakieś tajemne olbrzymy,
że po nich stopa człowieka
kroczyć się lęka...
Ale ode mnie trwoga jak daleka,
gdy twa powiedzie mnie ręka,
gdy przy mnie Salomy wybraniec
z księgą tajemnic, w której zapisano
w spełnienia rano,
co między cieniem cyprysu,
a między krągiem księżycu
zmieściło wielkie spełnienie!...
Albo się wspniemy na stromość opoki,
przeszywającej obłoki,
i, mając głębie mórz u naszych stóp,
opanujemy los świata...
I wielkie zbiorą się rzesze,
przyjdą mocarze i króle
z swojego życia zawrócą się dróg
i wszystkie skarby rozsypią przed tobą,
byś był, jak oni,
byś się w ich ubrał purpury
i na ich tronach siadł
i z niebotycznej rozkazywał góry,
byś opanował miecze i lemiesz

i dzierzył je do końca niezliczonych lat.
Byś serca z łon królewskich wydźierał skrwawione
i w swojej mocy
na misy je rzucał złociste!
A ty nad życia żalobą
i ponad życia radością,
nad jego blaskiem i wonią,
nad jego nocą i dniem
podniesiesz swą prorocką, niedosięglą wzgardę
i, uderzywszy dłonią
w pomarłe głązy twarde,
że dźwięk wydadzą krwawy,
a dotąd niesłyszany w istnienia obrębie,
rozpoczniesz wieścić sprawę,
będące ponad istnieniem,
nad tem, co się mieści,
w rozkoszy czy boleści,
między cyprysu cieniem,
a krągiem srebrnego miesiąca.
A morze, nad bezdenne wychyliwszy głębie
swą rozwichrzoną, niepomierłą głowę,
na której każdy włos,
srebrzystą pianą zlany,
dźwiga wieczności głośnie oceany,
słuchać cię będzie z poszumem,
co najgłośniejszy ból światów przygłuszy!
Lecz ponad morza szum
pójdzie ten głos,
który się wyrwie z twojej duszy...
Lewjatan się ruszy
i oczy swe globowe z zdumienia otworzy
i paszczę, która chłonie wieków straszny żer,
do twojej wyciągnie Salomy.
Pragnie ją pożreć, że twemu wieszczoniu

dała tę wielką moc,
która nad wszystkie idzie Lewjatany!
Ale w szatańską noc,
gdy błyskawice i gromy
z krzykiem owijać będą swemi wstęgi
i żreć swojemi ogniami
wieczysty byt,
ona płomiennym mieczem swej potęgi,
która ci duszę rozżęła
do wieczystego płomienia,
odetnie głowę potwora
i na złocistej ją misie
przed tobą rozkosznie złoży,
o ty cyprysie,
cień rzucający olbrzymi!...
O ty proroku boży!
O ty kochanku mój!...
Ach przyjdź!

Czemu twe oczy umarłe tak płoną
w konającego dnia zorzę czerwoną?
Przyjdź!
Libijczyk, królewskiego strzegący pałacu,
śmiał ku mnie sięgnąć swem okiem!
Zakradał się z wieczora pod białe me ściany,
aby, z westchnieniem głębokiem,
zobaczyć twojej wybranej
ten obnażony cud,
ścielący się na miękkie jedwabiów dywany,
pomiędzy rozsunięte miłości osłony,
na łoża płonących żądź.
Ach! przyjdź!
Libijczyk do przybytku wejdzie nieproszony,
westchnieniem miłość mą kupi,

na jego czaszce trupiej
me rozżarzone położą się ręce!
Do jego czarnej brody
przyłgnie ten dziwny kwiat,
który w pożądań niweczającej męce
zabójczym mieczem wykwita
z mej twarzy młodej —
jak twe źrenice, choć umarłe, płoną
w cichej bladości na tej misie złotej!
Ach! przyjdź!
Przyjdźże z tym głosem bożym,
który rozbrzmiewa w świątyni
nad lud ten tłumny,
o marmurowe łamie się kolumny
i o sklepienia odbija się gromem
i jehowiczne łaskoty
na całopalne rozlewa ołtarze!
Libijczyk zwiedłoczoly opuści z mym sromem
mojego domu próg...
Ach! przyjdź!
Salome cię woła...
Salome, klęby włosów rozwiawszy miedziane,
nihy wieków pożaru krwawiące się luny,
w wieczystej harfy uderzyła struny
i śpiewa —
i wzywa cię, proroku: przyjdź! ach! przyjdź!
[ach! przyjdź!]

Weź mnie do swego kościoła!
W rękę trzymając palmy,
zerwane z wiosennego zmartwychwstania drzewa,
nucić będziemy psalmy,
wielbić będziemy Boga,
jako jest jeden Bóg,
który miłości pragnienie

w twoją Salomę wlał.
Mirę będziemy sypać w trybularze,
do ognia dokładać drew,
niech Abrahama spełni się ofiara!
Niech głowa bożego proroka,
który ten zrodził śpiew,
ten śpiew wieczysty,
spocznie na misie złocistej!
Albo wszechmożny podniesiemy bunt!
Podważym świątynny mur —
niech runie u naszych stóp
wraz z Bogiem, który w piersi najprzedniejszej z cór
zbudził rozpaczny głos,
ciemny, jak grób,
rozbrzmiewający nad wielką nicością,
idący w zorzę czerwoną
konającego Żywota,
nad temi oczy, co tak strasznie płoną!...

Miso wybrana! o miso ty złota!
wieczysta struno mej harfy!...

Ach! przyjdź, proroku, przyjdź!...
A wy, o moje służebne,
zedrzyjcie ze mnie te szarfy —
i tańczcie... i tańczcie!... i tańczcie!...

Miso wybrana! o miso ty złota!...

III

ŚWIĘTY BOŻE, ŚWIĘTY MOCNY

O niezgłębione, nieobjęte moce!

Skrzydłami trzepocę
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...

Święty Boże! Święty Mocny!
Święty a Nieśmiertelny!...

A moje skrzydła plami
krew, która cieknie bez końca
z mojego serca...
A oko moje zachodzi mgłą,
która jest skonem
i mego serca i duszy mej!

Niech będzie skonem i Twoim!
Święty Boże! Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami!
I niechaj łzy,
które o jasnym poranku
wiszą na kłosach wypoczętych zbóż
lub szkliwą pianą okrywają kępy
w sen otulonych traw,

zmienia się w głośnie skargi
i bezustanku
płyną do Twoich zórz...

Niechaj rozszarpia na strzępy,
na krwawe szmaty
luny świtowe, powstałe nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzenią,
ogromne, przez Szatana zapłodnione światy,
a może przez Ciebie,
o Święty, Nieśmiertelny, Święty, Mocny Boże!
Dlaczego moje-li wargi
mają wyrzucać krwawą pieśń?!
Płacz ze mną!

Dlaczego sam mam iść w tę przestrzeń ciemną,
choć żar południa pali się w przestworze?...
Dlaczego sam mam wlec się na rozdroże,
ku tym pochyłym krzyżom,
którym na czarne ramiona
kracząca siada wrona
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno?

Niech głuche żale nie głuchną!...

Idź ze mną!

Zrzuć z Siebie, Ojcze, nietykalne blaski!
Zgarnij ze Siebie tę bożą,
tę władającą moc, co nad wiekami
nieugaszoną płomienieje zorzą
i światłość daje światom
i światy w swoim ogniu na popioły trawi!
Stań się tak lichy, jak ja, i skulony
i, doczesności okryty lachmanem,

wlecz się nieszczęsnym łańcem
za kluczem w dal przymgloną ciągnących żórawi,
ku cichej, na rozstajach kopanej mogile
zapomnianego człowieka!
Albo w swej całej, wiekuistej sile,
w całej potędze wszechmocnego bytu,
stań przy mym boku
i duszę moją rozszerz do Śwego bezmiaru
i oczy moje, w smutku zapatrzone strony,
rozewrzyj, królu globów, pełnych żalu,
do nieobjętych orbit,
i wlecz się, wlecz się ze mną na samotne pola,
ku tym ostami porośłym przydrożom,
gdzie, kurzem obsypana, ślepa siadła Dola...

A wiatr rozwiewa jej włosy
i żwir jej w puste sypie oczodoły,
a słońce, rozpaliwszy bezdenne niebiosy,
pali jej żółte, pomarszczone skronie
i po policzkach leje strumień żaru,
w bezdźwięczną skórę piersi wysuszone zmienia
i wargi jej roztwiera, daremnie łaknące
ach! rzeźwiącego zbawienia...

A dzwon się rozlega,
z jękiem się czołga po spalonej łące,
z płaczem się wznosi nad umarłe błonia,
łkaniem wyschnięte chce poruszyć wody
i zropaczony zamilkła u brzegu
i znów się zrywa i jęczy i płacze
i łka i płynie i płynie i płynie
w tej rozplakanej godzinie...

A jako widna ta ziemia, wspaniała
wielką godziną konania,
niepogrzebione wokół leżą ciała,

a ci się wloką, popędzani mocą
straszego lęku.
A każda głowa ku ziemi się ślania,
każde kolano się chwieje,
a krzyże posmutniałe drżą w wychudłych rękach,
a w wietrze chorągwie trzepocą,
a w martwym, niemem słońcu gromnice się złocą,
a Śmierć przed tłumem kroczy,
wielkimi kroczy odstępami
i z śmiechem na trupich ustach
wywija kosą stalową,
połyskującą w południowym skwarze.
A nad jej głową,
jak wieniec z czarnych ziół,
rozkwitłych podmuchem żałoby,
gdzie drzemią stuleci groby,
zgłodniałych kruków krążą stada
chmurą ściemnioną
i, wysunawszy dzioby,
żądliwie chłoną
ten wiew, który idzie od ziemi —
trujący, śmiertelny wiew...
A ona, świata przebiegając smug,
kroki swe liczy na mile
i kosą zatacza łuk,
że, jako zboże w dzień kośby,
tak pokolenia padają
na nieskończonym obszarze,
który jej mocy oddał się spokojny,
który jej mocy oddał się bezwiedny...

O dzwonu łkające prośby!

O szumie wędnących drzew!

O Boże, Święty Boże! Święty a Nieśmiertelny!...

A ci się włoka,
blasków słonecznych odziani powłoka.
A dzwon się rozlega
w blasków słonecznych pozłocistym pyłe,
opadającym na zielska przydroży,
na melancholją okryte przecznice,
na grób samotny
zapomnianego człowieka...
Kopcie samotny grób!
Niechaj w nim kości położy
ten, który z matki żywota
wyniósł nieszczęsny los!
Nieokielznana gnała go tęsknota
za widmem bólu,
który sam jeden
wszechmocny posiada głos,
który sam jeden rozpieśnia
duszę słabego człowieka
w natchnioną pieśń,
zapładniającą światy...
Kopcie samotny grób,
pośród krwawników kopcie i dziewanny,
u stóp
próchniejącego krzyża,
gdzie w południowy skwar
bratnie się schodzą duchy,
tłum zapomnianych mar,
i, wśród spalonej usiadłszy murawy,
jęk wyrzucają głuchy
z skrwawionych łon...
A jęk ten idzie po zżętych zagonach
razem z tą pieśnią, którą jęczy dzwon —
na rżyskach rusza porzucone kłosy,
czarnemi ożyn jagodami chwieje

i wierzb płaczących srebrne czesze liście
i szumi w wierzchach czerwonych chojarów.
Kopcie samotny grób
tam, na tej miedzy szerokiej,
gdzie rośnie łopian chropawy,
gdzie srebrne lśnią się podbiały,
gdzie aksamitna bylica
rozpiera miękkie swe kiście!
'Tam, gdzie ten parów
sący resztkami wody,
gdzie ten wądolec ospały,
gdzie ci się wloką,
blasków słonecznych odziani powłoką,
gdzie się nad drogą kurzu wzbija słup,
kopcie samotny grób!
Gdzie ziemia pęka od żarów,
gdzie każda jej grudka
pełna jest znojów
i krwawych prób,
gdzie dzwon się rozlega,
gdzie w wietrze chorągwie trzepocą,
gdzie się gromnice złocą —
kopcie samotny grób!
Gdzie w dali pobłyskuje jezioro tęskniące,
gdzie jaskier więdną na łące,
gdzie opuszczone mogiły,
te kopce poległych wojów
nielitościwy rozorywa pług,
rdzawe szablíce wyrzucając z wnętrza,
dziś wroga zbrodniczy łup,
tam wy samotny, cichy kopcie grób!...
Niechaj w nim kości położy
ten, który powstał z tej ziemi,
który miał w sobie jej trud,

jej tajemniczy jęk,
idący z głębin przestworzy
w południa senny skwar.
Niechaj w nim spocznie na wieki
ten, który zabrał z jej chat
żałniki łez
i czekał, kiedy przyjdzie wybawienia kres,
i z jej szumiących zbóż
zgarniał ten dziwnie przejmujący szum
i w swoich dum
treść go zamykał i w świat
jak wielką świętość niósł.
I żał go zdejmował,
że mu nie daną była moc,
by zmienić w triumf te łzy;
że nie miał siły,
aby te szумы żałobne
w jakiś weselny,
w jakiś radosny hymn się rozpieśniły!
I, obarczony przekleństwem najdroższych,
stał na drodze w dzień tuczy,
jak krzew pogięty,
i z piorunami w zawody
rozpaczą grzmiał!
A burza huczy i huczy,
a chmur się kłębi wał,
a wiatr mu deszczem miecie w ślepe oczy,
a grzbiet mu drży, jak brzoza wśród pustego pola,
a ślepa na przydrożu przykucnięta Dola
śmieje się dzikim śmiechem,
że się nie spotkał z echem
ten rozpaczliwy głos,
że go wchłonęły odmęty
tej burzy!

Że w tej śmiertelnej podróży,
w tej drodze znoјnej,
na tym zsieczonym łanie
upadł, bezsilny człek,
do wichru zwałił się stóp.
Kopcie samotny grób!
A Ty, o Święty,
o Nieśmiertelny,
który swym jednym oddechem
wypełniasz wieków wiek,
Ty od powietrza, głodu i ognia i wojny
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi,
zachowaj nas, Panie!
Świat dół swój grzebie
od pierwszych dni,
a w obramieniu Trójkąta
Twe oko lśni
nad węglem niebieskiej bramy...
A my wołamy do Ciebie,
a my wzdychamy,
Ewy nieszczęsne dzieci...
A z głuchym łoskotem
na trumnę sypią się grudki
ziemi, oblanej potem,
ziemi, oblanej krwią...
A naokoło zapadłe mogiły
i cicho łkające smutki
wśród trawy; eo z cichym szelestem
pożółkle liście kołysze.
A światłość wiekuista biednym ludziom świeci
w tę podróż ciemną...
Jestem!
I Ty jesteś tu ze mną!

Przerwij tę ciszę!
Niech Twoje słowo gromowe
zagrzmie nad wielkim cmentarzem!
Radosne niech głosi nadzieję!
Niech zapomniani wstaną,
a żywym niechaj życie nie będzie ponurym,
wieki kopanym dołem!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Z kornem błagamy czołem!
Spuść Swoją łaskę na tę naszą głowę,
na oczy, zmroczone łzami!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Daj spiekłym łanom
rzeźwiący deszcz!
Nie zsyłaj gradu,
który nam zboże zsiecze, nim dojrzeje...
Nie trać naszego dobytku
w owcach i koniach!
Trzymaj zdaleka pomory,
które nam biją
ostatnią krowę z obory!
Ze zboża wypień sporysze
i chwast kąkolu
i w ręku trzymaj Swe chinury,
by się nie rwały
i nie topiły w ulewie
snopów na polu!
Niechaj nie płaczą stulecia!
Niech mróz spóźniony nie warzy nam kwiecia
na ledwie rozkwitłym drzewie,
na naszych wiśniach i gruszach,
na naszych starych, pochyłych jabłoniach...
I wdzięczność rozpal nam w duszach,
byśmy Twe dary godnie oceniać umieli.

O pełen kary
i przebaczenia pełny!
Chociaż ci nasze te grzechy utrudnią
stanać nad niemi z powieką zamkniętą,
niech Twoja litość stokroć większą będzie,
niżeli wszystek nasz grzech!
O Panie!
Nie daj wysychać studniom!
Niech się Szatana nie rozlega śmiech!
Na naszej grzędzie,
gdzie ciężki trud rozpoczęto,
niech trud ten żniwem się stanie!
Spraw, aby w wielkie, uroczyste święto,
w tę chwilę wesolą,
gdy na organie
i śpiewem i kadziłem wielbimy Twą moc
i dobroć Twoją,
nie była dla nas potrzeba
skąpić dziecinom chleba!
Chroń nas od zdrady
i daj nam tyle,
byśmy we własnej spoczęli mogile;
by nasze dzieci czy wnuki,
gdy przyjdzie im dla ojców starych kopać grób,
nie były przymuszone iść między sąsiady
i prosić o jałmużnę ach! na cztery deski,
na prostą, białą skrzynię z naznaczonym smolą
krzyżem u głowy...
Ojcze niebieski!
Na pokropienie daj
i aby grosz był gotowy
dla dziadka prośbatego, co w gorącej wierze
ciche odmówi pacierze...
A jeśli ziaren swych łask

nie zechcesz równać strychulcem
po brzegi swej szczodrej ćwierci,
od naglej i niespodziewanej śmierci
racz nas zachować, Panie!
I niechaj w wietrze chorągwie trzepocą,
niech się gromnice złocą,
niech blask ich płynie w ten słoneczny blask!
Pogrzebne niech zabrzmią śpiewy
nieszczęsnym dzieciom Ewy!
Padłym na znojnym łanie
niech dzwoni żałobny dzwon,
niech szumi z tej trawy szelestem...
Święty Boże! Święty Mocny!

Jestem!
Jestem i płaczę...
Biję skrzydłami,
jak ptak ten ranny,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...
A u mych stóp
samotny kopią grób,
a czarna wrona,
na Bożej męki usiadłszy ramiona,
bez końca
kracze i kracze
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno...
A ci się wloką,
światlistą mgieł sierpniowych odziani powłoką,
jak cienie,
do wielkiej się wloką mogiły...
Za nimi dziewanny
z piaszczystych wydmy się ruszyły,

z miedz się ruszyły krwawniki,
z poza zapłoci bez się ruszył dziki,
tatarak zaszumiał w wądocach
i, z mułu otrząsnawszy pachnące korzenie,
idzie wraz z niemi...

Z mokradel kępy rogoży,
z przydroży
osty o żółtych kolcach,
szerokolistne lopiany,
senne podbiały,
fioletowe szaleje,
cierniste głogi
wstały
i idą...

Liśćmi miękkimi
wierz zb zaszleścił rząd
i w cichej, rozpaczliwej sunie się żalobie
śladem ich drogi...

Całe rzyskami zaścielone łany
oderwały się w tej dobie
od macierzystej ziemi
i, niby olbrzymie ściany,
wzniosły się w górę i płyną,
tą wielką żalu godziną...

A Ty, o Boże!

o Nieśmiertelny!

o wieńcem blasków owity!

na niedostępnym tronie

siedzisz pomiędzy gwiazdami

i, głową na złocistym spocząwszy Trójkacie,

krzyż trójramienny mając u swych nóg,

proch gwiazd w klepsydrze przesypujesz złotej

i ani spojrzysz na padolny smug!

Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!

Słońcom naznaczasz obroty,
gasisz księżycy,
jutrznie zapalasz i zorze
i płodzisz zasiew na byty,
na pełne cierpień żywoty,
które tu muszą mrzeć,
w samotny kłaść się grób...
Zniłuj się, zmiłuj nad nami!
O Boże!

O Mocny!

Ty się upajasz wielkością stworzenia,
a pośród nas tu głód!
Jak bedłki, tak, jarmużu syty, ginie lud.
A jako ryczący lew,
Szatan po ziemi tej krąży,
na pokolenia
zarzuca zdradnią sieć,
w synu na ojca zapalczywość budzi,
wynaturzony gniew,
że syn przed ojcem zamyka swój dom!
Bratu na brata wciska krwawy nóż,
a nasze siostry i żony
na straszny rzuca srom...
Podpala nasze stodoły
z garstką zwiezionych świeżo zbóż,
mordy narodów wszczyna i pożogę
sieje na miasta i wsi
i przekleństwami znaczy swoją drogę...
O zniszczeń dymiące dni!
A my, ten ród potępiony,
krzyże ujawszy w dłonie
i zblakłe w krwawym pochodzie,
trupiami piszczelami znaczone chorągwie,
idziem o głódzie

po tym śmiertelnym wygonie,
w ten znoyny
w ten nieszczęśliwy czas,
w którym konają wieki
i wraz się rodzą nowe
na cięższą jeszcze niedolę —
idziemy, biedną pochyliwszy głowę,
jak ten zsieczony las —
Idziemy, a kres tak daleki!
A lęk niespokojny
biczem popędza nas
i dech zapiera wśród łon...
A naokoło rozlega się dzwon,
na to cmentarne przelewa się pole,
na te wyschnięte rzeki,
w chojary żałobą swą godzi,
że te się kładą na piaszczystym łanie...
A pierś nasza łka,
a w oku błyszczy łza,
a ptak ciężko ranny
uderza w skrzydła, krwią ociekające,
a jaskier więdnąc na łące,
a z nami idą dziewanny
i krwawnik i wodne lilije,
a mór nam bydło bije,
a dom się nasz pali,
a siostra utonęła w rozpienionej fali,
a ojciec gdzieś daleko w strasznej zginął bitwie,
a Złe urąga modlitwie...
Cóż z nami się stanie!?
O Ty, łaskami hojny,
Ty, od powietrza, głodu, ognia i wojny,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
i od Szatana, który w dom przychodzi

i dusze zwodzi,
zachowaj nas, Panie!...

Nie skłonił się jeszcze dzień,
a Szatan z moczarów łóżyska,
gdzie nocą ognikami błyska,
z czeluści błota wstał
i, gdy najkrótszy słońce rzuca cień
na te manowce, na te ścierniska,
pod ramię chwycił Kościotrupa
i wzrósł nad jego niebosięgłą stal —
nad Ciebie, Boże, wzrósł!...
Masz-li Ty grom —
Masz-li Ty chmurę w ten południa skwar,
aby z niej piorun padł
i od Szatana uwolnił ten świat?...
Wal błyskawicą, wal!
Niechaj się łamie,
niech się rozkruszy ta zdrada,
która nad życiem i nad śmiercią włada!...

.....
Szatanie!

Ty Kościotrupa chwyciłeś pod ramię
i nad wysokość jego ostrej kossy
wzrosłeś w niebiosy --
a grom nie pada!
Z nieukojoną żalobą
klękam przed Tobą!
Zlituj się, zlituj nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
gdzie ból i rozpacz dzwonem się rozlega
i w strasznej pieśni brzmi...
Szatanie!

Kop mi samotny grób
na opuszczonym łanie,
u krzyża czarnego stóp,
pod gliny powłoką rdzawą!
A iżby nie porósł trawą,
tańcz na nim taniec piekielny
po wszystkie dni!...
A Ty, o Święty!
A Ty, o Mocny!
Ty Nieśmiertelny,
proch gwiazd przesypuj w Swej klepsydrze złotej
i płodź żywoty,
aby tak klęły, jak ja;
aby płakały, jak ja;
aby w szarpiącej modlitwie,
co jako dzwon ten lka,
o zmiłowanie prosiły;
aby się wlokły z gromnicami w dłoni
ku tej nieznanej ustroni,
do tej — ostatniej mogiły;
aby tak wyschły, jak łza,
którą już oko nie może;
aby tak marły, jak ja —
o Święty, Nieśmiertelny! Święty, Mocny Boże!

IV

MOJA PIEŚŃ WIECZORNA

On był i myśmy byli przed początkiem —
niech imię Jego będzie pochwalone!
Razem z gwiazdami byliśmy i słońcem,
zanim się gwiazdy i słońca
jęły rozbijać w swych kołach,
zanim się stało to, co cię pożera.

O duszo, spragniona miłości,
o duszo, spragniona spokoju!
On był i ty w Nim byłaś przed początkiem,
nim jeszcze miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem...

Dzień mój przygasa —
za wielkim, niebotycznym przygasa mi szczytem,
krwawą za sobą zostawiając zorzę,
która się czepia ogniami
tych oto smreczyn i ścian poszarpanych,
zatartych śladów moich stóp.
Dzień mój przygasa, ten złoty,
ten lazurowy, ten słoneczny dzień,
w błogosławieństwie swych drogich promieni
więżący klątwę dla człeka,
dla zbłąkanego pielgrzyma.
Niech gaśnie! niech ginie!

Niech upragniony nadejdzie już wieczór
ze swoją ciszą wieczystą,
która ci mgłami szepce miesięcznemi,
że zanim miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem,
On był i myśmy byli przed początkiem.

Blagosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
Kiedy od cichych pól,
od rżysk i rzecznych pobraży,
od przecznic i od ugorów,
od wypaczonych chat
i od tych stodół zwietrzałych
chłopięcą płacze piosenka:

A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten potok srebrnosiny,
gdzie ten szumny gaj!
Pani pana tam zabiła,
zieleni się hej! mogiła,
zieleni się hej!
A cierniste krzewie głogu
kwiat swój sypie po rozłogu,
a szept idzie z kniej!...

A dusza słucha i słucha...
A dzień jej przygasa,
a ona śladem tęsknicy

płynie rozlewną falą księżycową,
rosami płynie, lśnięciami na łąkach,
i wierzchołkami ukojonych drzew
i grzbietem białych gór
ku onym dniom zapomnianym,
gdy miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem.
Przestwórz się przed nią rozszerza
i, przepelniony wiekuistą nocą,
topi w swych głębiach wszystko, co ją zmogło
urągowiskiem i grzechem
i wypełnioną pokutą,
wstydu i hańby pociemniałą twarzą
i podeptaniem świętych, bożych praw
i krwawą zemsty pochodnią
i bólu, bólu strasznego
tak pożądaniem, a tak żrącym widmem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!...
Na senne kwiaty wystąpiła rosa,
na łąk płaszczyzny, na ciemny łąn zboża,
a ona siadła u brzegu jeziora
i rozmodlona patrzy w jego głębie —
i oparami wznosi się nad wielką,
nad uciszoną, rozmodloną wodą —
i słucha i patrzy i szepce
swoje wieczyste pacierze.
Z zapadłych wiosek płyną rozhowory,
w bagniskach dzikie odzywa się ptactwo,
a gdzieś w pustkowiu, a gdzieś na rozstaju,
w samotnej chacie połyskuje światło,
a tam! zdaleka cicha idzie Śmierć.

Od zórz zachodnich, w ziół zasypiających
rozkoszej woni piosnka się kołysze,
nad niemowlęcia kolebką wysnuta:
O tej radości, o tem weselu,
o tem cudownem, ukrytem zieleń
z za siódmej góry, z za siódmej rzeki,
które na smutek słodkie ma leki.
O tej godzinie, co szczęście niesie,
pieśń się kołysze po krzaczach, po lesie,
po falach żyta pieśń się kołysze
w tę uroczystą, wieczorną ciszę,
a wślad za pieśnią cicha kroczy Śmierć...
Wyszła z dziedziny, gdzie miłość i spokój
nie są ci ogniem trawiącym,
ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem,
i w świat podąża, ku onym rozstajom,
k'temu pustkowiu, ku chacie samotnej,
k'temu słabemu, czerwonemu światłu...
Ścieżyną zdąża i traktem szerokim,
po drodze zerwie jakiś kłos zielony,
albo też listek topoli
i w zamyśleniu rzuci je pod nogi.
Lekkiemi stopy przygnie jakąś trawkę,
lub owad zdepce na miedzy,
albo swą długą, białą, przezroczystą
zanurzy rękę w staw
i jego srebrną powierzchnię
powlecze rdzą opalową.
Czasem w tym swoim pochodzie
siądzie na chwilę pod krzyżem pochyłym,
na opuszczonej mogiłce,
i, głowę ukrywszy w dłonie,
głębokim jękiem zapłacze,

rozlewającym się na okrąg świata.
A potem wstaje i traktem rozległym,
albo miedzami idzie znów wśród zbóż
k'temu pustkowiu, gdzie w chacie samotnej
czerwone, słabe połyskuje światło.
A za nią snuje się smuga
sinych oparów i mgieł,
na których ciężkiem, dalekiem obrzeżu
zachodnia krwawi się zorza...
Czemu nie gaśniesz, ty zorzo?...
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera!
Czemu nie gaśniesz?!
Ach! jak się w twoich płomieniach
palą te grona jarzębin!
Jak się rozżarza ten żwir —
ten szary piasek na drodze pątniczej!
Wybaw człowieka, o Panie,
od żagwi gniewu Twojego!
Dusza ci śpiewa psalm, jak niegdyś, niegdyś —
śród koralowych jarzębin,
przy rozszumiałych, wielkich polach zbóż,
przy tajemniczych pogwarach tych lip,
rozkołysanych Twym świętym oddechem...
Pokorna, cicha, nieskalana dusza
stoi u wrótni kościółka
i psalm Ci śpiewa, tak wieczny,
jak wieczną ona i Ty!
Na rozżęczone mgławice kadzidel
kładą się dźwięki organów,
majestatyczne, cudotwórcze dźwięki,
i podpływają ku cichej, pokornej,
ku nieskalanej, ku skupionej duszy,
klęczącej w progu świątyni.

Grona jarzębin rumienia się w słońcu,
prastare lipy szumią hymn pierwotny,
przenikający głębinę jestestwa,
łan się kołysze, rozłożysty, złoty,
w oknach świergocą jaskółki,
nad poszeptami pacierzy
nieprzeliczonych pątników
białe wzlatują gołębie,
a w rozmodleniu milczącym,
na skrzydłach psalmów, tak wiecznych,
jak wieczna ona i Ty,
wznosi się dusza ku Tobie.
Bo gdzież jest większy Pan i król i władca?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?
Sam z Siebieś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie.
Z Siebieś stworzyłeś ten przestwór bez końca
i z Siebieś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienie Swoje zamknął w prochu ziemi
I wicher piersiami oddycha Twojami.
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie
wraz z duszą globów, świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i listkiem,
Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś Wszystkiem
i przez Cię Wszystko, nieśmiertelny Panie,
ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc Ci równa? gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry Twój dosięga?
Gromem przemawiasz w lyskającej tuczy,
głos Twój morzami i wulkanem huczy,
trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści,
lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Straszliwym bywasz w Swym monarszym gniewie:
rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,

żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece Twojej odda się szczerze,
tego Twoja łaska od złego ustrzeże.
Bo czyjaż dobroć Twoich bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?...

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,
tej nieskalanej, pokornej i cichej!...
On był i myśmy byli przed początkiem —
chwalny i wielbmy Jego święte imię!

Czemu nie gaśniesz, ty zorzo,
nad oceanem tych ciężkich oparów,
co pochłonęły me słońce?
Księżyc się dźwignął ponad węża gór,
osrebrza brzegi obłoków,
łśni się na rysach śnieżystych;
od wschodu pełza cicha noc,
stoki swym wielkim przytłacza spokojem,
a ty się palisz!

Stamtąd — od nizin dalekich,
usypiających poza stu wodami,
poza tysiącem dróg,
jakiś się echo przyczolguje w duszę —
Cicho!

To płacz tej dawnej, chłopięcej piosenki:
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten ruczaj srebrno-siny,
gdzie ten szumny gaj!
Ach!...

Przeorałem łąn o świcie —
od pola, do pola,
kąkół wyrósł w mojem życie,
dolaż moja, dola!
A graj-że mi, piszczałeczko,
a graj-że mi, graj!...
a graj-że mi, graj!...

Czemu się żagwisz?...
Niech raz już wszystko zagaśnie!
Jarzębina się rumieni,
szepcą lipy stare,
suchy piasek się podnosi — — —

Czemu nie milkniesz, ty zorzo?
Dlaczego krzykiem ognistym,
wysstrzelającym z tych przepastnych szczelin,
pomiędzy dwiema piekielnymi ścianami,
tak mnie oślepiasz i tak mnie ogłuszasz,
że dojść nie mogę do kresu?
Dzień mój już przygaśł,
a zorza jego się krwawi,
jakby się krwawić miała w nieskończoność!...
Wszystko pożera swemi płomieniami —
duszę mi pali i świat cały pali!
Z olbrzymich snopów ognia,
jakby młóconych niewidzialnym cepem,
sypią się ziarna skier
wokrag na niebo i ziemię!
Księżyc się zajął
i, w mgnieniu oka wyrósłszy
w ogromną kulę ognistą,
zaczyna rwać się w kawały
i płomiennymi wali się bryłami

na cielska płonących gór,
na popiół smreków spalonych.
Płoną jeziora,
sto wód się pali
i tysiąc dróg!
Z rozszalałego wnętrza ziemi
ogniem buchają wulkany,
gwiazd miliony tną błyskawicami
spieniony potop płomieni
i z hukiem
giną w czeluściach czerwonych...
Boże!

Czemu mnie karzesz?

W tych rozżarzonych stanąłeś przestworzach,
cały splomienion, większy niż przestwory,
z krzyżem, ogromnym, płomienistym w dłoni
i rozżagwiony rzucasz na mnie świat...
Karz mnie!

Bom-ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu
i prześladowan był przez grzech — do końca!
Moja to wina!

Bo oto moja nieprawość,
mnoga, jak iskry tych ogní,
przeszła granice, Panie, Twych zamiarów!
Ojcam się wyparł,
a kiedy zamknął powieki,
krzyża-m na jego grobie nie postawił,
bom go nie prosił o garść tego błota,
o nędzny żywot ten!

Moja to wina, moja wielka wina!

Matkę-m wypędził z domu, by nie jadła
strawy, porwanej większym, niż ja, tchórzom —
a wypędziłem ją w czas, gdy nad ziemią
przebiegał tuman nawałnic,

aby jej w drodze, w bezludnem pustkowiu,
oczy wyżarły błyskawice,
a dąb, walący się od gromu,
aby ją przygniótł swą kłodą na wieczność!
Moja to wina, moja wielka wina!
Ośleplą siostrę spotkawszy żebrzącą
u wrót wspaniałej katedry,
nie czułem tyle odwagi,
aby się dotknąć jej ręki wyschniętej
i, na jej krwawe wskazując orbity,
głupim powiedzieć lwom i pustym lwicom:
Idźcie! mnie łaski waszej nie potrzeba —
to siostra moja! przy niej mi pozostać!
Moja to wina, moja wielka wina!
Psa, który zaszedł mi drogę
i z głodu zęby wyszczerzył
i miłosierne wlepił we mnie ślepie,
kopnąłem nogą,
aż ze skowitem padł pod moim plotem!
Robaka-m zdeptał —
tysiące owadów
miażdżyłem stopą, wlokąc się przydrożem,
ażeby duszę znudzoną
orzeźwić wschodem lub zachodem słońca.
A pnąc się w górę, ku rzeźbionym grotom,
ku tajemniczemu snom stalaktytowym,
albo ku wirchom, skąd pycha
wygraża światu pięściami z granitu,
kazałem ścinać pacholkom
gałęzie smreków młodziutkich,
gdyż iglicami drażniły mi skronie...
Zabiłem brata,
bo mi się worał w miedzę
i naręcz owsa mi wyżał

dla swego konia —
moja to wina, moja wielka wina!
Chęć mi raz przyszła obłędna,
ażeby kopać dla siebie mogiłę,
bo mi się życie stało cmentarzyskiem,
i w tę mogiłę wtrąciłem bliźniego,
tak, że oszalał między umarłymi!
Moja to wina!
Uwiodłem żonę przyjaciela —
moja to wina!
Pod próg sąsiada kazałem podrzucić
dziecko, zrodzone z mego rozbestwienia.
A raz to grzech mi tak zaciemnił oczy,
żem poomacku szedł w przepastną głębię
straszego lasu
i, jadowite wyszukawszy ziele,
świat niem stłumiłem w poczęciu.
Moja to wina, moja wielka wina!
Nie karz mnie, Boże, według moich zbrodni!
W tej gniewu Twego straszliwej godzinie
świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie!
Wielka jest moc Twa i wielka potęga,
lecz czyjaż dobroć Twojej dobroci sięga?!
Rozpalonemi namiętnością dłońmi
umiałem skazać niewinną wstydlivość,
nim się w słoneczne rozwinęła kwiecie.
Podstępnie owoc zerwałem dziewiczy,
słowem, któremu dała moc obłuda,
wielbiąc zbawienie z miłości,
a sobie-m szeptał, jak złodziej, co w każdym
widzi złodzieja: rwij, nim przyjdzie inny!
Za grosz kupionej rozpuście
dałem się wlec po kałużach,
albo, gdy przesył wypił ze mnie krew,

• jak widmo-m stawał u bram lupanaru
i żrenicami, zmienionemi w szkło,
przez które ognia przezierał ostatek,
zazdrośniem śledził takich, jak ja — trupów,
by ich rozkoszą zwałoną
podżegać w myśli mą rozkosz przymarłą.
A nieraz podłość tak mi żarła duszę,
że chcąc wypełnić jej pustkę,
małom nie szeptał bładzącym przechodniom:
Nie temi drzwiami: tamte wam poradzę!
Moja to wina, moja wielka wina!
Związany ślubami,
które mi jarzmem się stały,
a sił nie mając otwarcie
zrzucić ze siebie tych błazeńskich dzwonków
arcykapłana domowych ołtarzy
i iść, gdzie w słońcu południa,
śród woniejących ogrodów,
krwawo się złoci zakazane drzewo,
dawałem w duszy przystęp takim szeptom:
Niechajże Szatan się zjawi
i niech uwikła w sieć swojej pokusy
tę, co mi ongi była mocą szczęścia,
a dziś mnie dusi swą cnotą!
Wówczas jej krzyknę: podłaś! i, już czysty
w nędznem sumieniu, pójdę spełnić zradę!
Moja to wina! moja wielka wina!
Oto jest miłość! oto jest to źródło,
z którego bije szlachetność!
Moja to wina! moja wielka wina!
Panie!
Wszystkie ja grzechy wziąłem na swe barki,
bom-ci ja człowiek, bom urodzon z bolu,
bo żal i rozpacz i przestрах

i wyczerpanie i siła
są przyczynami mojego istnienia...
Spłonąłem chucią do mej własnej krwi,
do matki mojej i do córki mej!
A w noc tajemniczą,
kiedy przed moim pałacem,
wzniesionym z mgławych majaków,
przedziwne kwiaty o zbielełych oczach
rozrzechotanej Meduzy
do jakichś strasznych rozmiarów
w mżach wyrastały miesięcznych —
kiedy się księżyc skradał do mych komnat
i kładł na łożę mego wyczerpania,
wówczas mnie ze snu budziła lubieżna,
sprowadzająca warg bezwładne drgawki
i żrenic błędną gorączkę,
potworna żądza ku Twemu — zwierzęciu!
Moja to wina! moja wielka wina!
Oto jest miłość! oto jest krynica,
z której wypływa zwycięstwo nad piekłem!
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Karz mnie!
W tym rozżagwionym przestworze
masz krzyż z płomieni, większy, niż ten przestwór,
więc bezlitością swych płomiennych rąk
wyciągnij członki moje do ogromu
Twojego krzyża, na którymś zawisnął
Ty sam, o Panie! ongi przed początkiem,
kiedyś się zmuszał, by spokój i miłość
przemienić w ogień trawiący
i w skamieniałe, ślepe przerażenie!
Kiedyś ze swego spokoju
i swej miłości

wydziałał słońca i gwiazdy,
by rozbijały się w swoich elipsach,
aby się stało to, co nas pożera!
Karz mnie, człowieka, co krąży po świecie
z brzemieniem winy na ugiętym grzbiecie.
Wagę masz w ręku i niecz sprawiedliwy,
z którego lecą skry na ludzkie niwy,
a pomsty Twojej płomienna potęga
od pokolenia w pokolenie sięga.
Krew nam wysusza i pożera kości
wieczysta wszechmoc Twej zapalczywości —
żadna się przed nią groza nie ostała:
Niechaj Ci za to będzie cześć i chwała
na wieki wieków, Amen, Amen, Amen!
Panie!

Kłamałem!

Zawiść i zazdrość tuliły się do mnie
żółtkłemi łony i, nagością swoją
opanowawszy mą duszę,
kazały zezem patrzeć mi na sławę
i na bogactwo rodzonego brata.

Kradłem —

w kościele Twoim rozbiłem skarbone!

Moja to wina, moja wielka wina!

A raz w czarownym, wielkim, ludnem mieście,
śpiesząc ku śmierci, która czeka na mnie,
chciwie wstrzymałem krok przed stosem złota
i błyskawicą, która idzie z Ciebie —
moja to wina, moja wielka wina!

myśl mi przebiegła haniebna:

Tak! wymordować czcicieli Molocha
i potem — zająć ich miejsce!

Panie!

Falszywym byłem prorokiem

i nie umiałem powstrzymać bluźnierstwa
przeciwko Tobie, tak, jak dzisiaj bluźnię!
Krzywdy-m ja bratu nie przebaczył,
choć sam krzywdziłem — jak oszust!
Pogardę niosłem tłumowi,
jego szerniałym, spracowanym dłoniom,
jego łachmanom, przesyconym potem!
Ornat na siebie kładłem i koronę
i, wzięwszy jabłko do ręki i berło,
kazałem klękać przed memi rozkazy,
jakby nie było Twego majestatu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Okręty słałem na spienione morza,
a w bitwach, w mojem wszczynanych imieniu,
tysiące kładły się we krwi swej własnej,
a wszak Ty jeden masz prawo
na życie człeka wydawać wyroki!...
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, skazany na karę,
bo dzień mój przygasa.
a zorza jego się krwawi
i świat się mój pali!
Bo dawno już przeszedł czas —
moja to wina, moja wielka wina! —
gdzie miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym
ani zabójczą tęsknicą
ani kamiennem, ślepem przerażeniem...

A graj-że mi, graj!...
Jarzębiny się rumienia —
suchy piasek się podnosi —
A graj-że mi, graj!...

On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera...

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
kiedy na wieki — na wieki
gaśnie jej dzień — — —

V

SALVE REGINA

Zawitaj, Pani świata,
niebieska królowa,
witaj, Panno nad Panny, gwiazdo porankowa.
Wieniec Twą skroń oplata,
zwity z promiennych liści:
o niech się w nich nadzieja biednych ludzi ziści!
Biała, jak śnieg, Twa szata,
a z białego-ć łona
lilija Twą czystością rośnie ubielona.
A wąż, który na ziemię przyniósł śmierć, przez Ciebie
został podeptan na wieki —
Salve Regina!

Milczcie!
Nie do was idzie wielkie objawienie
od skalnych brzegów
tajemniczego jeziora,
nad którem okrag zachodniego słońca
w olbrzymią, wiekuistą rozlewa się falę.
Nie dla was płynie pieśń,
co się w płomiennym urodziła krzewie,
święta, jak ranek wiosenny,
albo jak wieczór jesieni,
zapadający nad ciszą ugorów,
nad zwiędłą czerwienią drzew
i ponad próchnem pochylonych krzyży!

Nie! nie! śpiewajcie ją wszyscy:
wasze to tchnienie i wasza to krew,
wasze to serce w tym śpiewie —
Salve Regina!

Blżej! blżej!
O nie uciekaj przede mną,
ty rozmodlony pogłosie!
Wypełniasz cały świat
swoją przedziwną melodią,
a przed mą duszą ciemną
jak gdyby stanął nieprzebitny mur,
o który się rozbija twój rozlew potężny
i głuchnie...
Poco ten przestach i poco ten lęk?
Ponad głębiami nocy,
nad skrajem uśpionej ziemi,
oblasków niewidzącej, które idą z Życia,
smug się rumieni ognistego złota
i w jednej chwili ogarnia przestworza.
A k'niemu idzie Tęsknota,
jak druchna boża,
w wianku z oliwnych gałązek
i z wielkim, czarnym krzyżem na wątłym ramieniu.
A w nim, w tym blasku, w tem ognistym złocie,
pali się milion dusz,
o których tutaj dawno zgasła wieść.
A każdą wieniec oplata,
zwity z promiennych liści —
nadzieja biednych ludzi w jego skrach się iści.
Biała, jak śnieg, ich szata,
a z białego łona
lilija ich czystością rośnie ubielona.
I każda węża głowę

depce swą białą stopą
i z lutnią, naciągniętą na tony wieczyste,
śpiewa przesłodki hymn,
zasłyszan ongi — tak dawno, tak dawno,
ażeby o nich wieść
zagasnąć miała czas —
hymn przenajświętszy:
Salve Regina!

Ziemio! ziemio!
Tęsknota chodzi po tobie
w wieńcu z gałązek oliwnych
i z wielkim, czarnym krzyżem na wątłym ramieniu.
I krople potu roni
i, dzierżąc kielich goryczy
w białej, zmęczonej dłoni,
klęka co kroku w swej drodze krzemiennej
i modli się, i płacze, i wzdycha, i modli...
A jej modlitwy i łzy
i te westchnienia głębokie
co krok się w przędze zmieniają pajęcze,
jak one włókna jedwabne,
porozwieszane na rzyskach
w październikowe dni
i na kończynach więdnących traw —
na całym tym ogromnym, rozległym obszarze
mrącego świata...

O, wy, modlitwy i łzy!
O, wy głębokie westchnienia
naszej samotnej Tęsknoty,
poklekującej na krzemiennej drodze,
z kielichem goryczy w dłoni
i z czarnym krzyżem na wątłym ramieniu!

Zmieniacie w mgły się pajęczce
i, otuliwszy jej postać
w swoje rozwiewne przedze,
czynicie z niej by obłok, wstający z poranku
na wielkich obszarach świata,
i rwiecie ją z sobą do góry!
O wieńcu z gałązek oliwnych!
W wieniec przemieniasz się złoty,
w promienny wieniec gwiazd,
na skroni naszej Tęsknoty
i nad głębiami nocy świecisz, niepojęty!
O ty kielichu goryczy,
z twardej wykowan miedzi!
W alabastrową przemieniasz się czarę,
na zapomnianym ustawioną grobie,
pełną słodkiego napoju wieczności,
i do bezmiarów rośniesz niepojętych,
i sam się w napój rozpływasz,
i swoją wonią przepelniasz
duszę biednego człowieka!

O krzyżu na wątłych ramionach
naszej serdecznej Tęsknoty,
wraz z tobą dźwigającej tajemnicę bólu!
W skrzydła się zmieniasz anielskie
i wnet ją niesiesz ku blaskom,
lśniącym nad nocy głębiami,
ku onym dusz milionom,
o których tutaj dawno zgasła wieść.
Tam lśni jej biała szata,
a z białego łona
lilija jej czystością rośnie ubielona.
I depce węża głowę
swoją promienną stopą,

i z lutnią, naciągniętą na tony wicczyste,
śpiewa przesłodki hymn,
zasłyszan ongi, tak dawno, tak dawno,
że miała zgasnąć czas
owa szarpiąca wieść
o tajemnicy krzyżowego bólu —
śpiewa, swój hymn przenajświętszy:
Salve Regina!

Milczcie!

Nie do was idzie wielkie objawienie
od skalnych, cichych brzegów
tajemniczego jeziora,
nad którym czarne cyprysy
cicho schylają swe głowy...
Milczcie!

Płaczem i jękiem,
urodzonemi z nicości,
nie zakłócajcie tej pieśni,
którą wśród dusz miljona
z białą lilią u łona
wieczysta śpiewa Tęsknota.

Nie! nie! śpiewajcie ją wszyscy!
Wasze to życie i wasza to krew —
ta pieśń wstrząsająca,
która swym świętym pogłosem
nie o świątynne łamie się sklepienia,
ale przez pola idzie, wielkie pola,
i zmartwychwstanie zmarłym daje kościom,
i we wiosennym uśmiecha się blasku,
i śnieg na łąkach roztapia,
i zwiędłe trawy w świeżą stroi zieleń...

Dlaczego płaczesz?
Nędza jest wszędzie!
Nędza w miłości i nędza w cierpieniu!
Łam się!
Nie masz spokoju?
Rozpękające drzewa twojej ziemi
nie przywabiają cię woniami swemi?
Uciekasz przed się, aby szukać ciszy,
która twe serce usłyszy?
Nędza jest wszędzie!
W twym sercu jest nędza
i w tych zwaliskach zagasłego świata,
na które patrzysz zadziwionem okiem,
nie — tylko nędza!
Patrz! patrz bez końca!
Patrz na ten odblask ginącego słońca,
którego czerwień zalewa te luki —
te poszarpane arkady,
te widma kolumn
i te dalekie kopuły!
Nie masz spokoju?
Wre w tobie echo pradawnego boju,
z którego wyszła zwyciężczynią Śmierć?
Jej-li to sztandar powiewa ogniami
nad tym rozległym, krwawym widnokretem —
tam, nad tym gajem cyprysów i pinij?
Łam się i patrzaj! folgi nie daj oku!
Z bezdennych głębin wieczystego mroku
jakiś wylania się potwór!
Cicho, powoli
nietoperzowe rozpościera błony,
zakrywa zorzę ich ciemnią
i rośnie...
I kulistemi dwoma płomieniami

swych nieruchomych źrenic
patrzy ci w duszę i błony
nietoperzowe rozacza
i rośnie...

I grube wyciąga ramiona,
i, kulistemi dwoma płomieniami
patrzając ci w duszę, w otchłań ludzkiej nędzy,
w to nieustannych gniazdo niepokojów,
podważa glob ciemniejący —
Salve Regina! —
do piersi go tuli kosmatej
i miażdży — — —

Czemu uciekasz?

Czemu w przestrzenie dążysz, jak ta plewa,
którą wicher porwał z wymłóconych kłosów .
i pustą rzucił w pustkowie?
Boże!...

Czemu uciekasz, jak ten blask gasnący,
gdy się rozprasza w ciemnościach?...

Nikt cię nie kochał?

Nikt ci krwawego nie otworzył serca;
abyś w niem duszę zanurzył
i, wykąpany w jego krwi płomiennej,
mógł wszechwidzącą odczuwać źrenicą
drgania tęsknoty i bólu,
rozlanych w wielkiej, świętej duszy świata?
I sam tęsknotą i bólem
drzeć, niby harfa eolska,
z słonecznych stworzona kryształów?
Drzeć, niby świat ten ogromny,
przeczuwający
nieskończonego bytu promienistość,

przez ból idącą, przez wielkie cierpienie?...
Boże!...

Nikt cię nie kochał?!

A ty, czyjaś duszę
tak umiłował, abyś mógł zapomnieć,
że jest granica między złem a dobrem?
W czyjeś ty serce spojrział z taką wiarą,
aby jej siła mogła ci je rzucić
do twoich stóp nieskalanych?
Do stóp bożego wybrańca,
co serca podnosi
i twórczem swem tchnieniem,
nieskazitelnem i wiecznem przez miłość,
pył z nich otrząsa i zbawia?
Co je podnosi nad wzlot własnej duszy,
nad ból swój własny i nad swą tęsknotę,
i — niby święte tajemnicze słońca,
uwite z błysków przeczuć,
powstałych z Stwórcy i dążących k'Niemu,
pomiędzy gwiazdy je rzuca,
by niestrawionem promieniały światłem?

Nigdyś nie kochał?

Łam się!
Pomiędzy sobą a morzem miłości,
huczącem pieśnią potężnych zapomnień,
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia,
sameś piekielną budował opokę.
Rozbite ciosy swej duszy

na samolubny znosiłeś Babilon,
albowiemś sądził, że jesteś sam jeden,
i że nad ciebie nie może być — życia!
I wówczas Szatan stawał na twej wieży,
śmiał się ku tobie oczyma Pokusy
i, pełną kłamstwa czarą swych przyrzeczeń
ubezwładniwszy twą duszę,
kazał ci jedno: abyś kochał siebie!
kazał ci jedno: abyś wierzył w siebie!
kazał ci jedno: abyś zbawiał siebie!
I kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, co wielbiły miłość!
I kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, co głosiły wiarę!
I kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, co brzmiały nadzieją!...
A poza tobą — jak blisko! jak blisko! —
huczało pieśnią potężnych zapomnień
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia
to wielkie, święte, jasne, nieskończone
morze miłości...

Łam się!

A gdy w odległych przepaściach twej duszy
jęły się budzić echa tego Słowa,
co w płomienistym rodziło się krzewie —
kiedy od brzegów tajemniczej wody
szum dolatywał przedwiecznych objawień,
poszeptujących tajemniczym głosem,
ażebys kochał — cierpieniem,
naonczas Szatan tę twoją opokę,

twój samolubny Babilon,
w Górę przemieniał Oliwną.
I w szacie Zbawcy,
z Sfinksa obliczem, na którym wyryto
nicodgadniętą zagadkę boleści
i rzeczy przyszłych dalekie widzenie,
pełne wyrazu smutku i tęsknoty,
klękał w oblaskach księżyca,
na współczujące ślaniał się rozłomy,
i z rąk anioła brał kielich,
i krwawym zlewał się potem,
i modlił się i płakał i wzdychał i modlił...
A gdzieś od strony Jeruzalem nędzy,
gdzieś od Syjonu zbrodni,
od źródła i ujścia Bytu,
gwar przypelżywał na łunach,
urągających wieczystemu Światłu,
pozapalanych, aby przyćmić Jasność!
I rozchylały się gałęzie drzew,
i z chrzęstem łamały się krzewy,
i żwir się zsypywał po zboczach,
i w krwawych ogniach pochodni,
pozapalanych, aby przyćmić Jasność,
urągających wieczystemu Światłu,
tłum się wyrzucił z Judaszem na czele...
I, obdarowan pocałunkiem zdrady,
brał krzyż na siebie, wielki, czarny krzyż,
i na Golgotę po krzemiennej drodze
szedł twój Kusiciel —
jak twa tęsknota
szedł, modlił się i wzdychał i płakał i modlił.
A potem — w przepaść rzucił czarny krzyż,
w bezdenny rozdół szumiący,
i, zolbrzymiawszy, leżał na twej Golgocie,

na Babilonie twej duszy.
I rozkrzyżował ręce
i, w strasznej, cierniowej koronie
na zolbrzymiałej głowie,
przygasającym patrzył na cię wzrokiem,
tak przenikliwym i smutnym,
żeś modlił się i płakał i wzdychał i modlił...

A na zachodzie
płonął krąg słońca,
ogromny krwawy krąg,
przecięty ogromnym obłokiem,
i rzucał ogromny
cień Kusiciela,
skrzyżowanego na twojej Golgocie,
na Babilonie twej duszy,
i topił świat w jego mroku — — —

Zaś gdy cię złamał ból,
gdyś sam się staniał na głazy,
kiedyś brał kielich goryczy
i Judaszowej pocałunek zdrady
na swoich wargach odczuwał,
wówczas się zrywał z opoki,
stał przed tobą, okryty
ciemną purpurą nocy,
i wzrok utkwiwszy szyderczy
w twych oczach, obłądnych z żalu,
na świat się cały rzechotał
wielkim, szyderczym rzechotem...
A poza tobą — jak blisko! jak blisko! —
huczało pieśnią potężnych zapomnień
i przepotężnych pożądań
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,

i uświadomień potężnego szczęścia
to wielkie, święte, jasne, nieskończone
morze miłości...

A Zbawca —



oblany morzem miłości,
tem wielkiem, świętem, jasnem, nieskończonem,
krzyż wyciągnąwszy z szumiącego dołu,
płakał nad tobą.

Łam się!...
Nędza jest wszędzie!
W miłości jest nędza
i nędza w cierpieniu!...

Łam się, i patrzaj, i słuchaj!...
Słoneczny błękit otula
rozległe łany ozimin...
Śniegu srebrzyste płaty
drzemią zaledwie gdzieś w rowach,
pod mokrą schowane krawędzią,
nad którą pęki traw
w wiosennych drgają powiewach.
Z posłania kiści jedwabnych
stokrótka wychyla głowę
i rość zaczyna bylica.
Z wądoców mgły się podnoszą
i w ciepłych znikają promieniach,

a nad głębiami sennej, cichej wody,
od której twórcza idzie w świat tęsknota,
krzyk czajki się rozlega albo śpiew skowronka.
Ponad brzegami dróg
wierzby już gibkie wypuściły pręty
i rząd topoli
już się w świąteczne przyozdabia wieńce.
A roztopami,
połem szerokiem,
nad którym chaty szerniała
lśnią się dachówką,
lub mchami obrosłą strzechą,
powoli toczy się wóz...

Górą, na snopkach słomy,
zamknięte w sosuowej skrzyni,
śpi snem nieprzespanym
życie biednego człowieka...

Cicho, zwolna wóz się toczy,
na nim w żółtej skrzyni
na wiek wieków zgasłe oczy,
jak światła w pustyni.
Twój-li ojciec? matka twoja?
czy najdroższe dziecię?
Gdzież jest radość? gdzież ostoja
na burzliwym świecie?
Kilka mogił, kilka krzyży
śróđ piaszczystej zboczy —
coraz bliżej, coraz bliżej
wóz się ku nim toczy.

A przy pagórkach,
na tajemniczych rozdrożach,

gdzie święty duch ludu
Boże zbudował Męki,
cicho przystaje wóz...

I orszak zdejmuje w milczeniu
truninę sosnową,
w której, jak światła w pustyni,
zagasłe drzemią źrenice
twojego ojca czy matki,
brata czy siostry,
czy najdroższego dziecięcia,
i na murawie ją stawia,
u stóp pobożnej figury.

Razem z żalobnym orszakiem
zmęczona klęka Tęsknota
i zdjawszy z ramion swych krzyż —
ach, ten przeciężki, wielki, czarny krzyż,
o smutną opiera go skrzynię
i modli się i płacze i wzdycha i modli.

A nad roztopy,
nad lany,
nad świeżej trawy podściela,
na pędy ożyłych wierzb
i nad dzwonnice topoli,
nad strzechy szerniałe
ulata pieśń przenajświętsza:
Salve Regina!
Ku złotym płynie obłokom,
w których skowronek
nuci hymn wiosny,
albo opada ku dołom,
hen! ku ukrytym parowom,

gdzie śniegu ostatnie bryły
pod mokrą konają krawędzią.
Albo na skrzydłach przedziwnego smętku
ku grząskim wlatuje bagnom,
gdzie pod pochylą trzcina,
nad ostrowiami sitowia
zrywa się czajki jęk.
Lub ku dalekim idzie widnokręgom,
ku modrym pasom borów,
w mgły otulonych sinawe,
i w wielkie rozlewa się morze,
wszechmocnych pełne zapomnień,
i zbawiających pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień szczęścia,
którego ludzkie nie widziało oko,
o którym ludzkie nie słyszało ucho.
A na jej odzew anielski
ziemia, od brzegu do brzegu
podeptanemi zasiana grobami,
otwiera wielkie swe wnętrze:
Zmarłe powstają kości
i za tym biednym zdążają orszakiem
ku garstce mogił i krzyży,
ku tej piaszczystej zboczy,
ku której bliżej, wciąż bliżej
ten prosty rydwan się toczy.

Siermiężne płyną tłumy,
króle i senatory,
biskupy w białych ornatach,
i świętych wieniec liljowy,
i mistrze, co ducha bożego
zaklęli w barwę i kształt

i w pieśni natchnionej dźwięk
lub grzmieli głosem proroczym.
I zbrojni kroczą rycerze
niby na wielki bóg,
w którym się wszystko ma złamać,
co było Życia wielkiego przeczeniem.
A wszyscy w blaskach słonecznych
nieba sięgają czołami
i grzmiącym śpiewają głosem:
Salve Regina!...
A ponad nimi
pali się milion dusz,
o których tutaj dawno zgasła wieść.
A każdą wieniec oplata,
zwity z promiennych liści —
nadzieja biednych ludzi w jego skrach się iści.
Biała, jak śnieg ich szata,
a z białego łona
lilija ich czystością rośnie ubielona.
I każda węża głowę
depce swą białą stopą
i, z lutnią, naciągniętą na tony wieczyste,
śpiewa nadniebny hymn,
zasłyszany ongi, tak dawno, tak dawno,
ażeby o nich wieść
zagasnąć miała czas —
hymn przenajświętszy:
Salve Regina!...

A w ślad za nimi wlecze się twój ból...

Hahahaha!

(Szatan się zaśmiał, albowiem on jeden wie, że:)

Nędza jest wszędzie —
nędza w miłości
i nędza w cierpieniu!

Śmieć się!
A moja tęsknota,
na barkach ciężki dźwigająca krzyż,
otwiera usta,
by wraz z Tęsknotą świata
zaśpiewać hymn przenajświętszy:
Salve Regina!

VI

HYMN ŚW. FRANCISZKA Z ASSYŻU

Bądź pochwalony, Rozdawco cierpienia!
Ręceś mi przekłuł i nogi
i krew mi cieknie z głowy,
a oto z Krzyża
zstępuje ku mnie w przechwalebnych ogniach
biały Serafin
i radość w serce mi leje
i z duszy śpiewne wytwarza narzędzie,
ażebym śpiewał i grał,
ażebym sławił i wielbił
Rozdawcę bolesnych stygmatów,
z których się rodzi Wesele
i Miłość...
I śpiewam i gram
do wtóru anielskich Zastępów,
mogących patrzeć w oblicze
Twórcy...
I śpiewam: bądź pochwalony!
A wy, stworzenia boże, słuchajcie mej pieśni
i chwalcie razem ze mną Tego, co was kocha.
Ty, słońce, przedewszystkiem, zestrój swoje blaski
w hymn płomienisty,
albowiem przezeń nam świecisz
i przezeń siewców rozbudzasz,
ażeby ziarno siewali
na sytny chleb Ducha...

Długom-ci czekał na przedwieczne Słowo,
jakkolwiek we mnie było i poza mną,
we wszystkich drzewach i we wszystkich trawach,
w wszystkich jasnościach i wszystkich ciemnościach,
w róży i lilji,
w robaku i płazie,
w głębinach wody i w górach pustynnych,
w płaczu, nadziei, w ucieście i trwodze.
Długom-ci czekał, albowiem me plecy
okrywał jedwab i pasem błyszczącym
były ściągnięte me biodra
i drogocenne trzewiki
chroniły stopy me,
aby ich piasek nie zbrudził,
po którym stąpa — człowiek.
Długom-ci czekał, o Panie,
żądny się oprzeć na Twojej światłości,
albowiem w ręku moim była laska,
w kosztowny metal okuta,
a zaś w marzeniach sięgałem po berło,
by rozkazywać wszystkiemu, co żyje.
A oto dzisiaj spłynął na mnie źródło
Łaski,
iż mogę
z wyciągniętymi rękoma
patrzyć w Krzyż
i z ran rozkosznych przelewać
krew.
I widzę twarz Serafina,
całą w ognistych rozbłyskach,
i słucham wiewu, któryś dał nam, Panie,
abyśmy przezeń rozumieli technienie
Twojej Istoty!...
I słucham szeptów, któreś dał nam, Panie,

w eukaliptowych koronach,
w cichych gałęziach oliwek i pinij,
byśmy w nich mieli oddźwięk tajemnicy
Twojego Bytu!

I słucham dzwonu, jak dzwoni
w sferach powietrznych, pełnych Twego Ducha,
wzywając ludzi i głązy
i ryby w rzece i ptactwo,
nim jeszcze zaśnie po gniazdach,
i mchy na dachach i zielsko w szczelinach
zwalonych branic i schodów,
i te różowe cyprysy
na świętem iniejsu umarłych,
i kości, złożone w ziemi:
aby ci bracia moi i me siostry
zmówili pacierz wieczorny,
aby na jego rozbrzmieniach,
na śpiewnych rozlewach dzwonu,
płynęli duchem ku Tobie...

Raduj się, serce, weselem
twojego Zbawcy!

Dzwoń, szumiej i szeptań poszumem,
szepciem i dźwiękiem okręgów,
boś oto częstką ich serca,
ho oto przyszło ku tobie
Ocknienie!

O miasto, z zimnych zbudowane głązów,
na których zorza przygasa!
Ciepło jest w tobie i ogień,
albowiem w twojem ubóstwie
kryje się Miłość!...

O moi bracia i siostry
z jarzmem na plecach,
z ciężarem konwi na głowie!

Już ja w rzemiennem przepasaniu swoim
nie mam-ci złota ni srebra,
już ja rzuciłem laski i trzewiki
i spieszę ku wam ubogi,
tylko bogaty tem Słowem,
co mnie przy słońca zachodzie,
przy dźwięku dzwonów i przy szepcie traw
wyrwało z obierzy Zła.
Już ja się nie gnę przed Blichtrzem i Próżnią,
lecz idę ku wam, aby jarzmo wasze
wziąć na swe barki
i, konwie wasze dźwigając na głowie,
nierozzerwalny zawrzeć ślub
z wyzwalającą Miłością!
Zbliżam się ku wam, pragnąc razem z wami
i razem z wszystkim rodzeństwem,
co kwitnie, pełza i świeci i gaśnie,
mężnie anielską oślepiwszy bronią
Centaura Pychy,
zaśpiewać pieśń tę jedyną:
Bądź pozdrowione Cierpienie,
gdyż z ciebie rodzi się Miłość!

O bracie mój, księżycu! o siostry me, gwiazdy!
Świecicie nad mrokami mojej siostry ziemi,
co, mając Jutro przed sobą,
nie umie zasnąć w łasce i spokoju,
a tylko w myślach się wije,
jakby, powstawszy rano,
rozpuścić wszystkie swe żądze...
I Zazdrość się zerwie
i będzie zazierała pod okna sąsiada,
zali nie bielszy chleb na jego stole...
A potem, przeklinając dzień, który ją zrodził,

pod fartuch schowa garnek z rozżarzonym węglem
i pójdzie go podłożyć między snopy zboża...

O bracie mój, księżycu! o siostry me, gwiazdy!
Chwalcie wraz ze mną Miłość,
ażeby Chciwość
nie wyciągała pokurczonych palców
po kruszec drogi, schowany w piwnicach
zamków, ujętych w parów i ostrokół...
Albowiem wszystko jest marność,
blichtrzem i próżnią
potęga możnych,
a błogosławion li ten,
który w rzemiennem przepasaniu swoim
nie nosi złota ni srebra,
lecz bosy, z odkrytą głową
idzie pomiędzy swą brać...

O bracie mój, księżycu! o siostry me, gwiazdy!
Na lśnistych waszych drogach, w tęczach waszych
[blasków

rząd apostołów i świętych,
proroków i pustelników
i zachwyconych dziewic,
oczy utkwwszy w Krzyż,
wyrzeczeń nuci psalm.
I słodkość mają w oczach,
na głowach kwiaty lilij,
krew z nich strumieniem ciecze,
a ręce ich oparte
na przewiązanych słupach,
na rozżarzonych roznach,
na kołach żelazistych,

na mieczach i toporach,
a z warg im uśmiechniętych
wypływa zbożny psalm.

A tutaj; w mrokach ziemi, wśród palacu Zbytku,
na stopniach bazaltowych, pod urną z porfiru,
ciężki zasypia Przesyt...

O zwisłe piersi oparł
obrzęklą twarz i spi...

Dłoń jego ściska puchar,
z niego się wino leje
na róże, pozrywane w wirydarzu wiosny!

O róże, siostry moje, o najmiłsze dzieci
kochającego Twórcy,

co posiał was, by upleść niebiańską koronę
dla Przenajświętszej Panny:

przebaczcie, że was ręce dotknęły nieczyste!

O zbudź się, Grzechu grzechów, i patrzaj: tam Szatan
na barki wziął Rozpustę,

zbiegłą z uścisków twych,

i, skrzydła rozpostarłszy, wznosił ją nad twój gmach
i rzuca z wysokości, sięgającej niebios,

na wieków wiek zamkniętych, w straszne widmo Sądu.

Słyszę:

anielskie huczą trąby —

widzę:

umarli wstają z grobów,

kłęb ciał w śmiertelnych kurczach

przeklina, ryczy, wzdycha

westchnieniem, od którego ślepie przerażenie...

Potworne sznury węzów

wpiły się w potępieńców,

a czarny Szatan-zwierz
rozrywa ich widłami
i strąca -w piekielny ogień.
A nad ostatnim szczeblem
drabiny Jakubowej,
na chmurze splomienionej
siadł sprawiedliwy Sędzia
i sędzi złych i dobrych,
i sędzi tak przez wieki, długie, straszne wieki.

Zasię Bóg-Człowiek,
Krzyż dźwigający w jednej,
a drugą na swe blizny wskazując otwarte,
Cierpienia wzywa głosem,
aby ukochać Miłość,
gdyż ona-li odwlecze
dzień Sądu...
A na maleńkiem ziarnku,
dokąd dotychczas nie dotarły jeszcze
grzmoty anielskich surm,
wykwita kwiat ostatniej,
najhaniebniejszej zbrodni:
tam Chciwość, Pycha, Zazdrość
do walki bratobójczej pogania plemiona.

Widzę:
leje się krew człowieka.
Wilk, szakal i hyjena
rzucają legowiska.
Łuna za łuną bije,
sieroty płaczą głodne
i matka pierś rozrywa!

Widzę:

kalekom z rąk wyschniętych
na ziemię lecą krokwie,
a starce, bez podpory, daremnie oczyma
szukają ośleplemi, gdzie znaleźć kęs chleba.
A Dżuma, owinięta w szary, długi całun,
przebiega z kosą w ręku zagon za zagonem
i kosi resztę kłosów, których nie stratował
szalony, Miłosierdziu wrogi tabun wojny.
O biedni staruszkowie! o słabe sieroty!
O matki zrozpaczone! do was-ci ja idę!
O ziemio, siostró moja, rodzicielko Winy,
do ciebie ja przychodzę bez złota w rzemieniu,
pokorny i ubogi,
tylko bogaty tem Słowem,
co dziś przy słońca zachodzie,
przy dźwięku dzwonów i przy szepcie traw,
stało się dla nas orędziem pokoju!
O ziemio, siostró moja, żadna krwi i hańby,
do ciebie ja przychodzę,
bosy, z odkrytą głową,
i jarzmo twe i grzech twój i wszystką twą grozę
chcę dźwigać razem z tobą
i razem z tobą śpiewać
przedziwny hymn Miłości,
boć ona-li odwlecze
dzień Sądu...

O bracie mój, księżycu, o siostry me, gwiazdy!
O róże, które dłonie zrywają nieczyste —
chwalcie wraz ze mną i z wszystkim stworzeniem,
z mym drogim bratem ogniem
i z siostrą moją wodą,
z wszystkim, co rośnie i pelza i kwitnie,

z wszystkim, co szumi i szepce i dźwięczy,
z wszystkim, co płonie i gaśnie —
chwalcie, chwalcie, chwalcie
sprawiedliwego Sędzie,
który odwlecze dzień Sądu
przez Miłość...

Ręceś mi przekłuł i nogi
i w bok mi włócznieś wbileś,
a biały twój Serafin
zstępuje ku mnie z Krzyża,
zaś na promiennym obłoku
ptaszęta wiją gniazda
i nucą...

Uciszcie się, ptaszkowie! Brat wasz pieśń chce śpiewać,
albowiem serce mu rośnie,
że może cierpieć Cierpieniem,
z którego rodzi się Miłość...
Że wyciągnąwszy ramiona
i zapatrzony w tę jasność,
opływając ciernie,
zwite na Krzyża wiązaniu,
może dziś słuchać wiewów,
któreś mu dał,
abyśmy przez nie rozumieli technienie
Twojej Istoty —
że może słuchać tych szeptów,
któreś nam dał
w eukaliptowych koronach,
w cichych gałęziach oliwek i pinij,
byśmy w nich mieli oddźwięk tajemnicy
Twojego Bytu!...
Lub nie! śpiewajcie wraz ze mną

hymn jaśniejący, jak słońce,
gdy pada na tę łąkę, na te złomy stare,
na moje miasto rodzinne,
na grzbiety tych mgławych gór!
Chwalcie Go razem ze mną,
boć On wam dał skrzydła,
abyście mogły kąpać się w błękitach!
On to wam krągłe dał oczy,
abyście mogły patrzeć na ten Krzyż,
na Serafina twarz!
On wam dał brózdę i miedzę,
krzewinę głogu i wierzchołki drzew,
abyście miały gdzie spocząć!
On-ci tak swoim każe świecić żarom,
iżby się ziarna kruszyły
na zapas dla waszych śpiczlerzy!
Śpiewajcie, braciszku, i ty, siostró pszczołko,
i ty, mój świerszczu polny,
i ty, moja muszko,
i ty, mój kwiecie rumianku,
i ty, daleki a głęboki szumie
mojego brata wiatru,
i ty, jedwabny promieniu,
który oprzędzasz ten stok!
I ty, siostró Klaro,
którą wybrałem między niewiastami,
albowiem wdzięczna jesteś i zachodna,
a zasię dusza twa
jest jak przedziwne zwierciadło,
odbijające świętą wolę Twórcy!
W wysokiej, białej wieży
zamknęłaś swe Dziewictwo,
a święci aniołowie
znoszą mu kwiaty hołdu.

Strzeże go Czystość i Męstwo,
wszystko się przed nim kloni,
i jam cię nie obraził
choćby najmniejszym drgnięciem
przyczajonego Grzechu.
Zaś patrząc w twoje oczy,
w ciche, głębokie oczy,
w których się zamknął Raj,
nim jeszcze zdradny wąż
owinał w swoje kręgi drzewo Zła i Dobra,
Miłości czuję prawdę,
jeżeli jest jaki oddech,
którym poranna zorza
owiewa tron niebieski w dzień Wniebowstąpienia.
A oto wczoraj w nocy,
gdym leżał na garści słomy,
Kusiciel, wszedłszy do mnie,
cełą mą zmienił w kościół.
O Sędzio, przebacz grzech!
Księża, siedzący w stallach,
śpiewali Miserere,
a każdy dźwięk się stawał
czerwoną lub białą różą
i padał na marmury.
O Sędzio, przebacz grzech!
W kosztownych kadzielnicach
paliły się kadzidła,
a na opalach dymu
słały się chóry świętych,
pomiędzy nimi Szatan.
O Sędzio, przebacz grzech!
A kiedy zaśpiewali:
„Wieczysty spokój, Panie,
racz dać tej grzesznej duszy!“

z pomiędzy grona świętych
na drodze róż i blasków,
tyś zeszła ku mnie naga —
o Sędzio, przebacz grzech!
I kościół się przemienił
w kosztowny pałac Zbytku;
świat wszystek się rozszalał,
jak tabun dzikich koni
bez uzdy i wędzidla.
Wino się strugą lało,
gięły się srebrne stoły
od pozłocistych zastaw.
Śpiew, harfy, chutne krzyki
i nagie ciała w płasach:
świat wszystek się rozszalał,
jak tabun dzikich koni
bez uzdy i wędzidla.
Sam Szatan mu przygrywał
i suknie zdzierał z kobiet
i warkocz im rozplatał
i rzucał je pijane
w szalony tłum pijanych.
Śpiew, harfy, chutne krzyki
i nagie ciała w płasach:
świat wszystek się rozszalał,
jak tabun dzikich koni —
sam Szatan mu przygrywał...
A ja, zluźniwszy rzemieńca,
pełnego srebra i złota,
ległem pod urną z porfiru,
na stopniach bazaltowych.
I twarz skłoniwszy obrzękłą
na tłustą pierś Satyra,
z jedwabiów odsłoniętą,

ledwie udzielił puławy.
Z niego się wino lało
na róże podeptane,
a z objęć mych uciekła --
wyrwała się Rozpusta,
mając twoje oczy...
I Raj się w nich zamykał
z oślizgłym węzem Zdrady,
kiedy już w swoje kręgi
owinał Zło i Dobro.
Uciekła przesycona --
Szatan ją wziął na skrzydła
i uniół nad mój gmach,
w którym się świat rozsalał
jak tabun dzikich koni...
Do wysokości niebios,
na wieków wiek zamkniętych,
wzniósł ją na swoich barkach
i rzucił w widmo Sądu.
Anielskie grały trąby,
świat wszystek jęczał, płakał,
kłał, wiał się, ryczał, wzdychał,
że od tych westchnień strasznych
oślepiło Przerazenie...
Zaś na maleńkiem ziarnku,
leżącym u mych stóp,
wykwitał kwiat ostatniej,
najhaniebniejszej zbrodni:
to Pycha, Chciwość, Zazdrość
do walki bratobójczej popchnęła plemiona...
Ale nad srogi Twój rozgniew
możniejszą, Sędzio, Twa litość,
co z straszliwego zbudziwszy mnie snu,
kazała iść między ciernie

i żądze wytarzać w ich kolcach...
I popłynęła ma krew,
i ciernie zakwitły różami,
ażebym razem z niemi
i razem z tobą, o siostró ma, Klaro,
mógł sławić i wielbić Twórcę!
Ażebym razem z wonnym kwiatem róż
i razem z duszą twą
mógł dziś zaśpiewać hymn,
że Miłość idzie przez ciebie,
Miłość niewinna i czysta,
która zwycięży nas!
O nućcie razem ze mną, braciszku moi, -
ptaszęta, na promiennym siedzące obłoku!...
Serafin stoi przy mnie,
i patrzy jej oczyma,
i rodzi się Miłość —
i świat się obsypuje kwiatem i zielenią!
O nućcie, braciszku i ty, siostró pszczołko,
albowiem rodzi się Miłość
i dźwięk płynie po ziemi, nigdy niesłyszany,
gdy Życie było li Ciałem!
O nućcie, me ptaszęta i ty, siostró muszko,
i ty, mój świerszczu polny,
i ty, mój bracie wietrze,
i ty, mój ogniu, wiekuisty ogniu,
albowiem Miłość się rodzi
i pokolenia idą w imię Ducha
do walki z przemocą i Zdradą!
A w bohaterstwo okuta ich pierś —
we wielkiej idą procesji,
w śmiałym szeregu,
a Czystość wieńczy im skroń,
a hasło: Zbawienie przez Miłość!...

Raduje się moje serce,
raduje się wielką radością,
żeś ręce mi przekłuł i nogi,
że krew mi z boku ciecze,
że mogę patrzeć w Krzyż,
że mogę cierpieć Cierpieniem,
z którego rodzi się Miłość...
Raduje się moje serce,
raduje się wielką radością,
że Twój Serafin biały
Śmierć już prowadzi ku mnie:
bądź pochwalony przez mą siostrę Śmierć!
Nie na to ją stworzyłeś,
aby nam była zniszczeniem,
tylko w łagodnych jej oczach,
patrzących na mnie błękitną światłością
żrenic mej siostry Klary,
potęgę-ś zamknął zbawczą,
przez którą człowiek się staje
szczęśliwym uczestnikiem
nieśmiertelnego Żywota!
Ręce-ś mi przekłuł i nogi
i w bok mi włócznie wbiliś,
i biały Twój Serafin
zstępuje z Twego Krzyża
i w blaskach promienistych
Śmierć już prowadzi ku mnie —
bądź pochwalony przez mą siostrę Śmierć!
Nie szukam-ci ja ulgi,
bo na to jest, by cierpieć,
a tylko-m wielce spragnion
wiekuistego Żywota,
którego bramy, pełne chwały Twej,
otwiera mi w tej chwili

siostrzyca ukochana,
przednia wśród Twoich córek —
Śmierć!

Bądź pochwalony
przez jej wybawczą Moc!
Bądź uwielbiony
przez ukochanie Śmierci!
Oto spogląda na mnie
głębią łagodnych źrenic
Twojej wybranki Klary,
a świeżych ust dziewiczość
szepce mi słodkie słowa,
że już się zbliżył utęskniony czas
tych moich z nią zaślubin...

Krew sączy mi kroplami
z przeklutyh rąk i nóg,
strumieniem krew mi cieknie
ze zranionego boku,
a ciało przebiega dreszcz...
Kleją się ciężkie powieki,
bezwładnie opadają
ponad gasnącą jaśnią moich ocz,
które za chwilę, za chwilę
blask ujrzą przewspaniały
Twojego Majestatu.

O wschodzie nowego bytu!
Płonie już moja góra,
pali się ogród róż,
anieli na skrzypcach grają
u wejścia Porcjunkuli,
ptaszęta wyśpiewują,

oliwek liście szepcą
poranny cichy pacierz,
a korni braciszkuwie
na prostych niosą marach
to grzeszne ciało moje,
owite w czarny habit...

Serafin schodzi z Krzyża
i Śmierć spogląda ku mnie
łagodną głębią żrenic
Twojej wybranki Klary —
bądź pochwalony przez mą siostrę Śmierć...

.

.

VII
JUDASZ

Czemu mnie ścigasz?
Gdzież Twoja święta, uwielbiana miłość?
Ni jednej chwili wytchnienia!...
Widzę Cię w słońcu!
W chmurach Cię widzę —
we wszystkim, czego się dotknę, —
we wszystkim,
na czym źrenice me spoczna,
jeśli się kiedy, idąc straszną drogą,
na tę nadludzką zdobędę odwagę,
by podnieść głowę do góry
ach! i zmęczonej uchylić powieki,
na której ciąży
ten ciężar wstydu...
A czyż ja darmo, o dziewczyno,
będę dziś pukał w twoje wrota?
Pokaż-że mi się w okieneczku,
wszak potaniała dzisiaj cnota!...
Hi hi hi hi hi !!!
Mówisz, zem rudy? Zamknij oczy,
garścią srebrników gust ci zmienię:
rudy nie rudy, byle tylko — — —
A! znak od tego powroza!?
Hi hi hi hi hi !!!

Czart to się wczoraj rzucił mi na szyję
i tak mnie słodko polechtał,
aż mi ta krwawa wystąpiła pręga...



Szydzisz-li ze mnie,
żeś taką pomstę wywarł na mej duszy?
Żeś mnie wypędził w świat,
abym się błakał, jak ten pies obity,
i zdradzał swoich przyjaciół?
Nie! ślepiec jestem, poomacku schodzę
z Twojej Golgoty, czepiając się ręką
zbrojnych pacholków, co Ci twarz opluli,
ale to czuję, że nie żar uragań
aż do obłędu mnie piecze,
tylko bezbrzeżny Twój ból...
Czemuś mnie stworzył, o Panie,
takim nędznikiem?!

I czemu
po tylu wiekach do uszu mi kładziesz
szumi owej zgrai, którą prowadziłem
w cichą, miesięczną noc
pomiedzy krzewy oliwek,
gdzie on upadał zbiedzony
przed szubienicy widziadłem? — — —
Przyjacielu! przyjacielu!
A co tam chowasz w zanadrzu?
Masz choćby jeden haust dla przyjaciela,
co cię serdecznie za to pocałuje??
Trzeba mi zalać robaka —
Tak! — nie wiem —
jakaś okropna szaruga,
rycząca rykiem tłuszczy,

która spełniła mord jerozalemski,
pod dach mnie dzisiaj zagnała
jednego, widzisz, z tych biednych,
z tych niedomyślnych i głupich prostaków,
co w dłoni widzą dłoń,
w całunku całunek! — — —

Dawnom cię, bracie, nie widział,
aleć ja dobrze pamiętam
twoje oblicze,
twoje przymknięte powieki,
z pod których wielki cichy patrzy smutek
w wielką i cichą głębinę
ludzkiej niedoli...

Tak! dobrze, dobrze pamiętam —
na Weroniki widziałem je chustce
w wieńcu cierniowym na skroniach —

Piękną masz siostrę!

Chodź w me objęcia —

sam ja przybywam — bez tego żołactwa,
co cię powiodło na tę pustą górę,
pod ten straszliwy krzyż — — —

Nie będęć darmo, o dziewczyno,
pukał dziś w twoje wrota:

pokaż-że mi się w okieneczku,
już potaniała cnota! — — —

O mój ty, bracie luby,

jaka ty siostrę masz!

Takem cię dawno nie widział —

weź przyjaciela w dom!

Tak! Tak! pamiętam te oczy,

na Weroniki chustce

patrzące cicho i smutnie

w cichą i smutną głębinę

tej naszej, ludzkiej niedoli — —

Nie powiedziała, żem rudy
i że mam krwawą na szyi
pręgę wisielca,
tylko siwe przymrużyła
oczęta,
a dziś żal jej, że jej suknia
pomięta!...

Nie podnoś na mnie tej ręki!
Boję się — — boję — — .
Sambyś się splamił,
gdybyś mi wyciął policzek!...
Wszak-ci nie siedzę przed królem Herodem
i trzciny nie mam w dłoni
ani purpury na barkach!
Wszak-ci ja nie mam tych oczu,
co z pod przymkniętej powieki
patrzą tak smutno i cicho
w smutną i cichą głębinę
tej naszej ludzkiej niedoli...
Czekaj — nie jestem tchórzem —
Czemu ten wicher tak wieje?
Zaszeleściło coś w krzewach —
ktoś mnie potrącił w ramię —
nikogo przecież nie widzę —
A! to ta gałąź oliwna,
na której jeszcze pozostał
i w tym się wietrze kołysze
mój stryczek!
Zdjęli cię z krzyża?!
Poco przychodzisz do mnie
taki milczący, spokojny,

w tej sukni z białych mgieł,
wlokącej wyrzut i rozpacz?!
Zabij mnie! zabij!
a tylko mego imienia
na pośmiewisko nie dawaj!
Ze mnie, Judasza
Iskarjoty,
swego drogiego nie rób przyjaciela!
Zwij mnie zbrodniarzem i łotrem,
tylko tak nie gardź mną!
Sza!
Nie! nie! to liść zwiędły upadł —
O moje życie! —
Któżby się trwożył
szelestu śmierci,
która mu gryzie wynędzniałą duszę?
Któżby się lękał kamienia,
spadającego w czarną, głuchą przepaść?
Nalej-że mi karczmareczko,
mocno przepalonej,
a ty, bratku, graj wesoło,
gach u twojej żony! —
Zziębłem — dygocę — a! zębami dzwonię —
psy mnie obsiadły, kiedym szedł w tę slotę
po zarobiony grosz —
należy mi, karczmareczko,
mocno przepalonej —
Jakto? Srebrników trzydzieści
za głowę tego człowieka,
który wam w sercu taki przestрах budzi?
I spać nie daje
ani spokojnie zasiadać do stołu?
Który na wasze królestwo
idzie z pożogą Swoich twórczych słów,

mających zniszczyć świątynię Występuku?
Mających na miejscu zdrady
postawić miłość i wierność?
Trzydzieści marnych srebrników
za pocałunek,
łożon na uściech druha, przyjaciela,
któremu imię — Chrystus?!
Arcykapłani!
W przedsionkach waszej bożnicy
jam się wychował!
Twarzą padałem na ziemię,
kiedy o jutrzni
szedł w cztery strony uśpionego świata
głos waszych złotych trąb
i świętych dwanaście pokoleń
wzywał przed arkę przymierza,
przed znaki wieczystej Tory...
Nim jeszcze krwawa ta pręga
na mej się szyi odbiła
z wargą patrzałem otwartą
w źrenice wasze i usta,
by z nich wyczytać waszą świętą wolę...
Spełniam ją dzisiaj, tylko więcej płacicie!
Dajcie mi setkę!...
Jakto? za dużo?
Za to, że wczoraj, gdym ukląkł w pustyni
i chciał przebłagać Pana,
aby zdjął ze mnie tę wieczystość hańby,
wicher się zerwał gwałtowny
i przeraźliwym przygłuszył poświstem
moją modlitwę?
Za to, że każdy oddech tego wiatru,
każdy szum jego, każdy jego wiew
i każde łkanie, każde uderzenie

w krzew czy też piasek,
w sosnę czy skałę,
w mgłę albo oblok,
w blask,
w falę jeziora
albo w wybrzeże mórz —
o grzbiet wędrowca lub w tygrysa sierść,
o róg jelenia, czy też w ślepie żubra,
o kłęb padalca,
czy o skorupę ślimaka,
w onoć idące w bezkresową przestrzeń
jasnowidzenie proroka,
czy o tłukącą się w ciasnej okręży
ślepotę ciżby tej,
co pragnie jego krwi —
za to, że w każdym jęku, w każdym szumie
i w każdym biegu pomsty żądnych wiatrów
i lka i szumi i jęczy i wyje
to szubieniczne: zdrajca! zdrajca! zdrajca!?

Wiecie:
Nie jestem czlekiem, u którego chciwość
i żądza zysku radaby ukradkiem
stanąć za tablic Mojżeszowych głazem
i, przechylona ponad ich krawędzią,
radaby zetrzeć niespokojną ręką
znaki przykazań
i na ich miejscu wyryć słowo: pieniądz —
jak wy to dzisiaj czynicie,
tak sobie lekceważąc
ten przyjacielski ust mych pocałunek!
Chcę dziewięćdziesiąt...
Mieście-że litość!
Rodzony ojciec mój
z nędzy popełnił zbrodnię —

muszę ratować rodzonego ojca!
Tyle go właśnie wybawi od kaźni
i włos jego siwy
nie będzie wstydem okryty!
Co? co? mój ojciec nie żyje?
Od niepamiętnych czasów leży w grobie,
a imię jego wolne jest od plamy?
Któż to wam kazał zaglądać w rejestra
i tak mnie ubiec i skrzywdzić,
wyszachrowawszy tyle — tyle grosza?!
Prawda! nie żyje
i nie odwróci gniewnych, smutnych ocz
od swego syna — Judasza!...
A w jakiej wy cenie
macie też starą, biedną moją matkę?
Czy nie wzruszają was łzy,
które wylewa aż po koniec świata,
że syn jej jedyny
znalazł w swej duszy odwagę,
aby się skalać taką przeohydą?
„Jani go niańczyła“ — tak powie —
„skąpiłam chleba swym ustom,
by moje dziecko nie zaznało głodu!
Jam mu śpiewała: luli!
Śpij, mój synaczku, śpij!
Matka do serca cię tuli,
chroni od os i żmij —
śpij, mój synaczku, śpij!
A gdy się zbudzisz, mój mały,
znajdziesz rodzyнки, migdały —
śpij, mój synaczku, śpij,
matka do serca cię tuli,
luli, mój synku, luli!“ —
Arcykapłani!

Serca wy macie kamienne!
Trzy wam opuszczę —
złóćcie ośmdziesiąt
i siedem — siedem przydatku
za to, że patrzeć muszę
w te dziwne, przymknięte powieki
na Weroniki chustce,
z pod których wielki, straszny patrzy smutek
w tę wielką straszną głębinę
mojej i waszej niedoli
i nędzy!...
„Jam go w ranną wiodła zorzę,
by jaśniał, jak ona!...
Raczej krzyżne wybierz łoże,
niżby dusza twa — o Boże! —
miała być splamiona!“
Dajcie pięćdziesiąt!
Jeszcze wam dużo!?
Zgoda! czterdzieści i dziewięć —
i pięć — i cztery —
Wezmę trzydzieści, bo patrzeć nie mogę,
aby na świecie był ktoś taki biały
i czysty,
kiedy ja duszę mam brudną!
Wezmę trzydzieści, bo patrzeć nie mogę,
by tłum go w tryumfie wiódł
w bramy świętego miasta
i rzucał mu palmy!
A to hosanna! — hosanna! — hosanna!
Wezmę trzydzieści, bo patrzeć nie mogę,
aby on zwał się Chrystus, ja zaś — Judasz!
Ażebym jego było przeznaczeniem
umrzeć na krzyżu, który po wiek wieków
otoczony będzie czcią,

gdy ja się mam błąkać
po wszystkiej ziemi,
wzgardzon i oplwan,
zdrajca i kłamca
i uwodziciel —
Judasze! — . . .
Nalej-że mi, karczmarczko,
mocno przepalonej,
a ty, bratku, graj wesoło
gach u twojej żony —
ponoć przyjaciel twój
czy brat! — — —

Czemu mnie ścigasz?
Wczoraj —
lat temu tysiąc, może sto, a może
zaledwie kilka upłynęło godzin,
zdawało mi się, że nadszedł już kres
mych niepokojów...
Utrudzon grzechu nieskończoną drogą,
w dalekiej siadłem krainie,
pod ścianą dojrzałych zbóż.
Zacząłem kłosa rwać
i łuszczyć ziarna pszeniczne
i sycić głód.
Cisza i spokój
promienistymi oprzędzały siećmi
rozległy, kłóśny łąk.
Głębie powietrza falowały żarem,
polnych koników ćwierkał rój,
zdaleka płynął brzęk kosy
lub tęskny śpiew przodownicy.

I przysła na mnie zaduma.
Rękami objąłem kolana
i skroniem schylił ku ziemi
i zapatrzony w listek sennej trawy,
co się położył na mej twardej nodze,
słuchałem brzęku tej kosy
i tego ćwierku szarańczy
i tego śpiewu żniwiarki.
Od niepamiętnych już czasów
nie miałem chwili —
może nie miałem jej nigdy —,
gdzieby ma dusza
tak zapomniała o swej strasznej nędzy.
Czyżby zagał ból?
Czyżbym ja, Judasz
Iskarjota,
źródło upodleń i cierpień,
spełnił już swoją pokutę?...
Lat tysiąc,
a może więcej, lub mniej,
a może tylko sto,
albo zaledwie kilka chwil
trwał mój słoneczny sen...
Podniosłem głowę
i wpółwyżartemi oczyma
od żrących kurzów i wstydy,
od deszczów, błyskawic i gromów
ach! i od żalów i płaczów
i od mej całej, czelnej zbrodniczości,
spojrzałem w stronę zachodu.
I oto w krwawych oblaskach,
na miejscu kuli słonecznej,
sposzregłem przymknięte powieki.
A z pod tych powiek

dwie ciche, głębokie źrenice
z nieopisanym gubiły się smutkiem
w głębiach sinawych nигiel,
wypełniających przepaść
pomiędzy niebem a ziemią
i swoim gęstem obrzeżem
dotykających lanu,
przez moje nędzne skażonego stopy.
I mgły się klębić poczęły
i wrzeć z taką mocą i syczeć,
jak gdyby ten, co mnie stworzył
i na tę hańbę przeznaczył,
wziął w swoje garście wszystkie głębie mórz
i gdzieś w bezmierne rzucił je ognisko,
w lej przeolbrzymi połączonych razem
wszystkich wulkanów, jakie są w wszechświecie
na milionach milionów gwiazd...
Ach! a to wrzenie i ten syk potworny
szedł z taką siłą na me biedne uszy,
żem nic nie słyszał, tylko: Judasz! Judasz!
Kłamca i zdrajca
i uwodziciel —
Judasz!...
Gdzież mi uciekać?
Gdzież znaleźć bezpieczny schron?
Przyjacielu, otwórz mi wrota swe!
Dawnom cię, dawno nie widział — —
weź przyjaciela w dom!
Piękną masz siostrę —
może to żona? —
Ponoś Chrystusa zdradził pocałunkiem —
wszystkoć przebaczam, przyjmij mnie w swój dom!
Mówią po świetle, żem ja wziął srebrniki —
ty wiesz najlepiej, żeś ty je targował!

Zdrada mnie twoja nie piecze!
Wszyscyśmy zdrajcy!
Człek człowiekowi jest równy —
Ja zwę się Judasz, i tyś jest Judaszem,
wszyscyśmi bracia Judasze —
weź przyjacielu w dom —
naley-że mi, karczmareczko,
mocno przepalonej,
a ty, bratku, graj wesoło,
gach u twojej żony —
ponoć przyjaciel twój,
czy brat —

Pomóż-że zdjąć mi te ciernie —
Panie! może mi jesteś krzyw,
żem śmiał Cię takiej pozbawić ozdoby?
Masz przecież jasny krążek wokół skroni,
niech mnie przynajmniej pozostanie Twoja —
Tak, Panie Chryste! — cierniowa korona!
Tylko dlaczego te kolce
takie są wielkie?
Czemu ten splót taki długi,
że siedemkrotnie głowę mi opasał
i jeszcze mi się pod te nogi ściele
ach! i za każdym wbija mi się krokiem
w me stopy? —
Mówisz, żem rudy? gust ci zmienię
brzęczącą kiesą złota —
tylko niech będzie ochota! —
Zdradziła brata —
Zdradziła męża —
Nie powiedziała,

że mam tę krwawą na szyi
pręgę wisielca,
tylko siwe przymrużyła
oczęta,
a dziś żal jej, że jej suknia
pomięta...

Wiesz, życie marne! nie żaluj!
Dam ci swój stryczek, poco masz po świecie,
biedna niewiasto, rozwłóczyć swą hańbę!
Nie! Zgińmy razem — naprzód ty, a potem —
mam tu w zanadrzu kropelkę, wystarczy,
wprzód ty, dziewczyno, a potem —
Czemu mnie ścigasz?
Gdzież Twoja wielka, uwielbiana miłość?
Gdzież Twoja litość?
I czem Twe słowo, któreś rzucił z krzyża
konającemu łotrowi?
Wygnał mnie w śnieżną pustynię —
jakaś nieziemska szaruga!
wicher mi garbi plecy,
że prawic ziemi dotykam tą brodą!
Ha! na czworakach
jak zwierz! —
I tyś jest zwierzem i ja jestem zwierzem —
wszyscy my, bracie, zwierzęta!
Co? może Jemu będziemy urągać
za tę zwierzęcą naturę?
Hej! Panie Chryste!
ja i ten brat mój —
Po piersi zapadam w śnieg!
Coraz to większe zaspy!
Ława mi sięga po szyję —
dławi mnie! dusi! — ginę! —

Zelżyj, o Panie, zelżyj!...
Dłoń mi podajesz, o Chryste?!
Nie chcę! nie chcę!
Nie stój nademną, ach! z temi oczyma,
które widziałem dawno -- dawno -- dawno --
na Weroniki chustce --
Nikt Cię nie prosił, abys mnie ratował --
sam się wewłokę na ten stromy szczyt,
na turnię lodową,
tam twoje zasy nie sięgną!
Jakaż to przepaść samotna!
A tam z tej głębi mgieł --
Coż to się snuje?
Coż to tak idzie na mnie?
Boże dziecięta idą szlakiem śniegów!
Bielutkie mają giezłeczka,
w ręku lilije,
a naokoło ich skroni
kręgi jasności,
rozświetlające ten ponury świat.
Idą --
śpiewają --
Cóż one śpiewać mogą?
Cicho!
Czemu wy na mnie idziecie?
Wy, białe, niewinne duchy! --
„Jam go w ranną wiodła zorzę,
by jaśniał jak ona“ --
Pochłoń mnie, ciemna przepaści!
Lub wy, przepadnijcie,
wy, niewiniątka!
Sza!
Ktoś mię potracił w ramię!
To kamień w przepaść spadł!

Sza! to ta gałąź oliwna,
na której wisi mój stryczek!
To liść jej się ruszył!...
Któżby się trwożył
szelestu śmierci,
która mu gryzie wynędniałą duszę?
Któżby się lękał kamienia,
spadającego w czarną, głuchą przepaść!?

Przyjacielu! przyjacielu!
Pomóż zdejmować mi ciernie!
Jakaś nieziemską szaruga
na świecie —
weź przyjaciela w dom —
dobytku swego nie chowaj
pod klucz!
Bogaty jestem — trzydzieści
mam — widzisz — w kiesie srebrników!
Nic nie ukradnę!
Nie podnoś na mnie tej ręki —
boję się — boję —
sam byś się splamiał,
gdybyś mi wyciął policzek!
Nie pierwszy ja zdrajca
i nie ostatni
i nie jedyny!...
Kain maczugę wziął, by zabić Abła,
a mem narzędziem morderczem
ten przyjacielski pocałunek!
Jakaż różnica?
Jedno i drugie zabija!
Jestem złodziejem i tchórzem —

aleć nie pierwszym
i nie ostatnim
i nie jedynym...
Zabij mnie! zabij!
tylko tak nie gardź mną!
Nie! Ślepiec jestem! poomacku schodzę
z Pańskiej Golgoty, czepiając się ręką
zbrojnych pacholców, co Mu twarz opluli,
ale to czuję, że nie żar uragań
aż do oblędu mnie piecze,
tylko bezbrzeżny, Chrystusowy ból!
Tylko przymknięte powieki,
na które patrzeć się muszę
na Weroniki chustce
tyle ach! tyle lat!
Tylko te smutne źrenice,
gubiące się w głębi
mojej i waszej niedoli...

VIII

HYMN MARJI EGIPCJANKI

MARJA EGIPCJANKA ŚPIEWA:

Idę-ć ja, biedna Maryja,
idę-ć przez piaski pustyni
hen! ku tej rzece nieznanej,
gdzie Chrystus cuda swe czyni.

Tęskność mnie wielka niesie,
a słońce skronie mi piecze —
daleko-ć jeszcze do celu,
wylękle serce człowiecze!

Nie znałam Pańskiej męki
i czym mi drzewo krzyżowe?
W perły kosztowne mą szyję,
w róże zdołałam mą głowę.

Nadeszły głuche wieści
o wielkiej uczcie Pana:
Gdzie jesteś, kraino gwoździ?
Gdzie jesteś, rzeko nieznana?

Gdzie jesteś, góro Judasza?
Ziemio Piotrowej zdrady?...
Idę-ć, a przy mnie kroczy
tęsknicy anioł błądy...

Tam, na krawędzi tej pustki,
na sinym nieboskłonie,
wznoszą się kurzu tumany —
Byt w tej kurzawie tonie,

Może bramami świata
tłumna się ciżba leje!
Może ból Jego ujrzę,
spełnią się moje nadzieje!

Chciwą źrenicą się wpiję
w gasnące Jego oczy
i krwią orzeźwię usta,
co Mu się z boku toczy.

Umieraj, Chryste Panie,
straszliwe znoś katusze!
Bez Twoich wszak udręczeń
ja, grzeszna, zginać muszę...

Szukam wieczystej wody,
żadnej krynicy nie minę:
niema takiego źródła,
gdziebym swą zmyła winę...

Tylko krwi Twojej świętej
zbawi mnie pomazanie —
każ Sobie przekłuć ręce,
umieraj, Chryste Panie!

MARJA EGIPCJANKA SPIEWA:

A któż mi śmie powiedzieć,
że grzech w mem sercu noszę?
Że świętszem jest wyrzeczenie
nad święte me rozkosze?

Że te w źrenicach Bolu
przymarłe skry są świętsze,
niż jasny płomień żądzę,
co me rozpala wnętrze?

Nie znam-ci Pańskiej męki
i czym mi drzewo krzyżowe?
W perły kosztowne mą szyję,
w róże ozdobię mą głowę!

Słyszałam głuche wieści,
że młodzian zszedł z niebiosów
w bursztynach jędrnego ciała,
w złocie jutrznianych włosów.

Poco Ci, bogów wybrańcze,
dla ludzkiej ginać nędzy?
Szczęściem ma wargę się śmieje,
zcałuj to szczęście coprędzej!...

Wgryź się w te moje piersi,
do mego przyłgnij łona,
ja Ci swe kwiecie rozwinę,
jak róża w słońcu spłoniona...

Idę-ć ja, grzeszna Maryja,
idę-ć przez piaski pustyni,
hen! ku tej rzece nieznanej,
gdzie Chrystus cuda swe czyni...

Tęskność mnie wielka niesie,
dusza się cała pali —
gdzie jesteś, moja radości?
W jakiej majaczysz dali?

Gdzie jesteś, wszechmocna Siło,
co ból wypędzisz z ziemi?
Garnę się, żadna, ku tobie
oczami płomiennymi.

Chwiejne wyciągam ręce,
spragnione otwieram usta:
niech mnie udusi twa rozkosz,
niech mnie twa zgnębi rozpusta!

Na co ta gorzka pokuta?
Daleką jeszcze mam drogę?
Tumany kurzu tam widzę,
lecz Ciebie dojrzeć nie mogę...

To ludzka ciżba się sypie,
a każdy na swoim grzbiecie
ciężar Twojej męki dźwiga,
co go na wieki gniecie...

I płacz rosami opada
i jęki szumią bez końca,
a westchnień mgławy opar
przycmiewa okrąg słońca.

Pomiędzy trupów klęby,
gdzie świeża krew się dymi,
wbileś znak Twego istnienia,
Twej śmierci znak olbrzymi.

Szaleństwem pijane widma,
gdzieś w pustce gubiąc oczy,
wrzeszczą nad klęską Żywota,
że ból go z Tobą jednoczy.

A ja pod krzyżem stoję —
nie Matka Boleściwa —
i nie wiem, czemu cierpienie
takim się wrzaskiem odzywa.

Nie wiem, dlaczego ma kalać
słoneczność Twego ołtarza,
kiedy mnie rozkosz rozpiera,
co żywot mi nowy stwarza.

Poco Ci, bogów wybrańcze,
dla ludzkiej ginąć nędzy?
Szczęściem ma wargę się śmieje,
zcaluj to szczęście coprędzej.

Spojrz uśmiechniętą żrenicą
w tę wiecznie kwitnącą wiosnę,
gdzie w klębach ciał obnażonych
gra opętanie miłosne.

Gdzie mi najpierwsi młodzieńce
obiodrza ściągają z ciała —
wszystkich, jak owad, odpędzę,
Ciebiem jednego wybrała!

Naco ta gorzka pokuta?
Daleką jeszcze mam drogę?
Tumany kurzu tam widzę,
lecz Ciebie dojrzeć nie mogę...

MARJA EGIPCJANKA ŚPIEWA:

W jaką wasz okręt podróż
odbija od tych wybrzeży?
W stronę on życia czy śmierci
po tych odmętach bieży?

Hej, dobrzy ludzie, słuchajcie!
Czy wam się w sercu pomieści,
że gdzieś tam, w ziemi dalekiej,
spełnia się uczta Bolesci?

Czy jest wiadomo na świecie,
że powstał Zbawca jedyny,
co grzechy krwią Swoją maże,
co wszystkie przebacza winy?

Szłam-ci ja, biedna Maryja,
szłam-ci przez piaski pustyni,
hen! ku tej rzece dalekiej,
gdzie Chrystus cuda swe czyni.

Szłam-ci, gdzie rozgwar wichrów,
szłam-ci, gdzie cisza głucha,
bo taka rozpacz mną targa
i taki wstyd i skrucha.

Straszna skorupa trądu
mniej jest obrzydła i wstrętna,
niżli sromota mej duszy,
niż te mej chuci tętna.

Chciałabym do nóg Mu upaść
i wielkim zapłakać płaczem,
by się w swej łasce zlitował
nad Grzechu życiem tułaczem.

Włosami lzy me obetrę,
co święte stopy Mu zleją,
i wołać będę przez wieki:
Tyś jeden moją nadzieją!

Tak idę, biedna Maryja,
tak mijam drogę za drogą,
szukam i patrzę i słucham,
zmysły go znaleźć nie mogą.

Gdzieś tylko na krańcach świata
zobaczę jakieś widziadła:
jak gdyby krzyż się unosił,
jakby go zgraja opadła.

Gdzieś tylko za tym obrębem,
w którym się zbrodnia wylęga,
jak gdyby szczyt się promienił
i rzeki błyszczała wstęga.

Żadne wyciągam ręce,
spragnione otwieram usta —
krzyż gaśnie i rzeka ginie,
a przy mnie otchłań pusta.

Czasami tylko wicher
piaskiem mi w oczy uderzy,
a uszy moje usłyszą
ryk oszalałych zwierzy.

Czasem się zwolna, pocichu
przyczolga widmo węża,
stał zimnych ocz we mnie topi,
kręgi swe ku mnie wypręza.

Czasem upadnę, znużona,
przy jakimś sępa szkielecie,
albo przy trupie wędrowca,
co Zbawcy szukał po świecie.

I wtedy czerń obszarpańców,
ze wszystkich zaułków zbiegła,
„Pijana ladacznica“ —
wrzeszczy — „pod płotem legła!“

A ciągle — o moja dolo!
O moja hańbo! O wstydzie —
tłum grzechów na mnie się wali,
sromotna ciżba idzie.

Złych duchów moc się gromadzi
i w świat mnie, chutną, wypędza
i przez stulecie mnie goni,
a za mną ciągnie się nędza.

Wczoraj-ci z lat ja dziecięcych
prawie nie wyszłam jeszcze,
a oto w objęciach starca
jego znużeniem się pieszczę.

Kiedyś uciekłam od matki
i, wzięwszy Szatana pod ramię,
łzom jej urągam i prośbom,
dusze niewinne plamię.

Matroną jestem w dzień biały,
nocą się staczam w kałużę,
a gdzieś tam, w rojnym mieście,
zwiądła w rozpuszcie, rajfurzę.

Biedna ja, grzeszna Maryja,
idę przez piaski pustyni,
hen! ku tej rzece nieznanej,
gdzie Chrystus cuda swe czyni.

W drodze ku brzegom zbawienia
wędrując tak przez wieki,
znalazłam-ci ja męża
w jakiejś krainie dalekiej.

Wróg wszedł do mego domu
z przyjaźni zdradną wymową:
rzuciłam męża i dzieci,
miłość miłuję nową.

Sierotek lzy mnie dławią
i srom się za mną wlecze:
za wiele lez i sromu
na jedno serce czlecze!

Biedna ja, grzeszna Maryja,
W drodze ku brzegom zbawienia
zaszłam pod dach mej siostry,
siostry się życie przemienia.

Uwiodłam oblubieńca,
w sieć uwikłałam jej męża —
wicher mi w oczy bije,
wąż ku mnie się wypręża.

Krwawe przekleństwo mnie ściga,
zwierz dziki w pustce ryczy —
Zdeptana wierność żony!
Utracon wstyd dziewiczy!...

Jakże pożadam Twej łaski!
Gdzież Twoje zlitowanie?
Idę tą gorzką drogą,
szukam Cię, Chryste Panie!

W jaką wasz okręt podróż
odbija od tych wybrzeży?
W stronę on życia czy śmierci
po tych odmętach bieży?

Zmierzacie ku rzece nieznanej?
płyniecie w kraj ten daleki,
gdzie Chrystus cuda swe czyni
i miłosierdzie przez wieki?

Słuchajcie mnie, dobrzy ludzie!
Nowy się żywot rodzi!
Weźcie mnie z sobą na głębie,
do swojej weźcie mnie łodzi!

Do nóg mu cała upadnę
i wielkim zapłaczę płaczem,
by się w Swej łasce zlitował
nad Grzechu życiem tułaczem.

Niewiele miejsca zabiorę —
powój o pręt się owija!
W ostatni kącik się wtulę,
biedna ja, grzeszna Maryja.

Czem wam zapłacę? Ha! prawda!
Idąc w tę drogę pokuty,
ubogim złoto rozdałam,
mam niedostatek luty.

Czem wam zapłacę? Ha! prawda!
Któż pierwszy rękę mi poda?
Jeszcze-ć się wznosi me łono,
jeszczem-ci piękna i młoda!

Ciebie pierwszego obejmę,
pierwszym całunkiem obdarzę!
Jak nam zadrgają wargi!
Jak spłomienieją twarze!

W przedziwnie miękkich kędziorach
włos ci na barki splywa —
była-li kiedy rozkosz
ach! tak gorąca?! tak żywa?!...

Albo ty będziesz wybrany,
ty z tą źrenicą niebieską —
jak słodko blednąć musi,
gdy zajdzie niewinną łezką!

Przy mojem licu gładkiem
łagodnie ci głowę złożę
i, twe powieki całując,
mdleć będę! Boże! Boże!...

Znałam-ci w Aleksandrji
rozkochanego lutnistę:
śpiewem me serce zdobył,
oczy, jak ty, miał szkliste.

Lub ty — z tą piersią szeroką!
Bawola siła z niej bije!
W takich uściskach mi skonać,
zębami wgrzyzłszy się w szyję.

I któż mi dzisiaj powie,
że grzech w mem sercu noszę,
że świętszem jest wyrzeczenie
nad święte me rozkosze?

Że te w źrenicach Bólu
przymarłe skry są świętsze,
niż jasny promień żądy,
co me rozpala wnętrze?

Słuchajcie mnie, kochankowie!
Nowy się żywot rodzi!
Weźcie mnie z sobą na głębie,
do swojej weźcie mnie łodzi!

Czem wam zapłacę? czem? Prawda!
Któżby dziś mówił o tem?
Miłość za miłość! ho! hejże!
Sami sypniecie złotem!

Ty, ciemnowłoso, dasz perły!
Ty, najcudniejszy — nie kłamię —
włożysz mi naramiennik
na krewią nabiegłe ramię.

Ty, co byś tura pochwycił
i zwałił mi pod nogi,
za jedną chwilę uciechy
sprawisz mi jedwab drogi.

Tamten, ściągnawszy ze mnie
to pokutnicze obiodrze,
przepaskę da kosztowną,
kamieniem sadzoną szczodrze.

A zaś dla ciebie, nim jeszcze
twe wyczerpanie się zdrzemnie,
z ciepłego wstanę łoża
w iskrzącym diademie!

I któż mi dzisiaj powie,
że grzech w meim sercu noszę,
że świętszem jest wyrzeczenie
nad święte me rozkosze?

MARJA EGIPCJANKA ŚPIEWA:

Zjaw się przedemną, Chryste,
pokaż mi swe męczarnie,
nim za mój ropny występек
wieczna mnie noc ogarnie.

Szłam-ci przez piaski pustyni,
przez wielkie płynęłam morze,
szukając, gdzie mi się spełni
Twe miłosierdzie boże.

Szłam-ci wśród wichrów pogwaru,
płynęłam w burzy i ciszy,
a wszędzie rozpacz i skrucha,
wszędzie mi grzech towarzyszy.

Pytam się smutnych przechodniów:
Gdzie Ten, co miał litość nad nami?
Był pono kiedyś — odrzekną —
przed zamierzchłymi wickami!

Dalekoć jeszcze do celu,
wylękle serce moje?
Oto zmęczona i biedna
w bramie kościoła stoję.

Podarte na mnie łachmany
i nogi do cna skrwawione —
tyłem doznała, śpiesząc
w tę wybawienia stronę.

Podajcie mi kromkę chleba,
głód innie do ziemi powali
w progach waszego kościoła,
w tej dla mnie obcej dali.

Jeszczem-ci piękna i młoda:
niech tylko siły nabiorę,
za chleb wam wynagrodzę,
zjawię się w samą porę.

Biedna ja, grzeszna Maryja!
Taką przebywszy drogę,
stoję u bramy świątyni,
do wnętrza wejść nie mogę.

W organach rzeka szumi,
Jordanu fala najświętsza,
a ja, ja biedna Maryja,
nie mogę wejść do wnętrza.

Żyjesz-li, matko moja?
Jest jeszcze chata słomiana,
gdzie w rannym, cichym pacierzu
rośnie potęga Pana?

Żyjesz-li, matko moja?
Pamiętasz — o niech zginę! —
kiedyś za rękę wiodła
w dom boży małą dziecinę?

Ziół pełno rosło przy rowach,
zboże szumiało na łąkach,
jak dziś w tym Pańskim śpiewie,
jak dziś w tych świętych organach.

Zrywałam wrzos i rozchodnik —
jaki kwiat w drodze się zdarzy —
i pęk tych niewiniątek
kładałam na stopniach ołtarzy.

Żyjesz-li? matko moja?
Jest jeszcze szereg długi
twoich komnat? Snują się jeszcze
w dziedzińcach sługi i cugi?

O straszna, złowróźbna chwilo!
O straszne nieba i piekła!
kiedy się do mnie pokusa
z żarzącym szeptem przywlekła!

Gdzie jesteś, mężu zdradzony?
O gdzie wy, moje dziecięta?
Oddane cudzej opiece?! —
Ojciec czy o was pamięta?...

Wzgardzone lzy mnie dławią
i srom się za mną wlecze —
za wiele łez i sromu
na jedno serce czlecze!

Zjaw się przedemną, o Chryste!
pokaż mi swoje męczarnie,
nim za mój ropicny występpek
wieczna mnie noc ogarnie.

Szłam-ci przez piaski pustyni,
przez wielkie płynęłam morze,
szukając, gdzie mi się spełni
Twoje miłosierdzie boże.

I oto jestem przy Tobie,
Twoje słodkie całuję rany,
ciernie wyciągam Ci z Głowy,
o Ty mój Jezu kochany!

Wspaniały stół mi gotujesz —
niema nad ucztę Bolesci!
Jeszcze się przy Twym boku
biedna ma dusza zmieści!

Lice mi gładzisz swą ręką,
przebaczeń szepcesz wyrazy,
a lzy mi gorące cieką
na Twoje stopy bez skazy.

Przed Tobą padam cała
i płaczę i płaczę i płaczę,
nogi-ć włosami obcieram
za Grzechu życie tułacze.

Czemu Go krzyżujecie?
On mi przebaczył winę,
sprawił mi ucztę Cierpienia,
niech ja za Niego zginę!

Dobrze!... Ostrzejszym gwoździem
klujcie mi rany w ręce...
O jak mi błogo umierać!
O jaka rozkosz w tej męce!

O wyżej! wyżej z tym krzyżem!
Niech jeszcze okiem, nim skona,
zobaczę świat, który Chrystus
zamknął w litości ramiona...

O wyrzeczenia godzino!
O wy rozkoszne katusze!
Czem ja Ci, Panie, zapłacę?
Ciało Ci oddam i duszę!

Wielka mnie gnala tęsknica —
Któż większą słodycz mi poda?
Bierz moje ciało i duszę —
jeszczem-ci piękna i młoda!

Poco Ci, bogów wybrańcze,
dla ludzkiej ginać nędzy?
Szczęściem ma wargę się śmieje,
zcaluj to szczęście coprędzej!...

MARJA EGIPCJANKA ŚPIEWA:

Biedna ja, grzeszna Maryja!
Idę i idę przez wieki
hen ku tej rzece nieznanej,
hen! ku tej ziemi dalekiej.

Idę przez piaski pustyni,
przez wielkie plynę morza,
ku Niemu gna mnie tęsknica,
a przy mnie litość boża.

Biedna ja, biedna Maryja — — —

— — — — —

Umilkł śpiew Marji Egipcjanki, albowiem przy-
gluszył go hymn najwspanialszy, który cnotę zrównywa
z grzechem — on, cudotwórczy hymn Śmierci — — —

— — — — —

Amen.



SPIS RZECZY.

	str.
1. Dies Irae	5
2. Salome	23
3. Święty Boże, Święty Mocny! . .	41
4. Moja pieśń wieczorna	59
5. Salve Regina	77
6. Hymn św. Franciszka z Assyżu . .	97
7. Judasz	117
8. Hymn Marji Egipcjanki . . , .	137

120, —

20 —

316209/8v

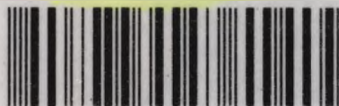
~~15,-~~

154096

+0,51 07

**Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu**

CM 314507



000-314507-00-0